

projektor

kielecki
magazyn
kulturalny

ISSN 2353-1037
nr 5(20)2016
egzemplarz bezpłatny
wrzesień/październik

Zbożowa **E**tno **R**eggae **F**est

i symbole

Violette, **L**acrimosa

Czarna liść
Czarna liść
Czarna liść

Hadziwicz, graficzne znaki,
Honet, Dehnel, Uta Przyboś

Bienisz

TEATR ECCE HOMO 20-LECIE

Organizator
Stowarzyszenie Artystyczne
Teatr Ecce Homo

**TEATR
ECCE
HOMO**



Baza Zbożowa
ul. Zbożowa 4
Kielce

Patronat medialny
projektor
miłośnik kina

10-13 listopada 2016

XVI PRZEGLĄD TEATRÓW ALTERNATYWNYCH

10 listopada (czwartek)

TEATR ECCE HOMO z Kielc
„Mastaba”

TEATR TERMINUS A QUO z Nowej Soli
„Go”

WOJCIECH KOWALSKI z Częstochowy
„3xRudnicki” (monodram)

11 listopada (piątek)

WIOLETTA KOMAR ze Słupska
„Przyj dziewczyno, przyj” (monodram)

TEATR FIETER z Ozimka
„Samoobsługa”

JOANNA SZCZEPKOWSKA
„Goła baba” (monodram)

PROGRAM

12 listopada (sobota)

CHOJNICKIE STUDIO RAPSODYCZNE z Chojnic
„Romeo i...”

TEATR KRZYK z Maszewa
„Face to face”

KOMPANIA TEATRALNA MAMRO z Warszawy
„Teatrowcy”

TEATR PIJANA SYPIALNIA z Warszawy
„Wodewil Warszawski”

13 listopada (niedziela)

JANUSZ STOLARSKI z Poznania
„Ecce Homo” (monodram)

TEATR ECCE HOMO
premiera





O KAPITANIE, mój kapitanie! wołali do Johna Keatinga uczniowie w „Stowarzyszeniu Umartych Poetów”, lecz popisowy w tej roli Robin Williams, nigdy nie zdradził im finału historii z Walta Whitmana, *gdzie mój kapitan leży zimny i martwy*.

Film Petera Weira jest pierwszym z nowej fali promującej anglosaską poezję, dzięki magicznym potężniom obrazu i słowa. Poeta, zamknięty w kryształowej wieży swoich tomów, jest dziś martwy i bardziej kształtem podobny do skamieliny ambuloceta, nad którą pochylić się może w zadumie tuzin paleontologów. Angielska poezja – za pośrednictwem kina – stała się marką rozpoznawalną. Zanim Coleridge i jego Xanadu pojawili się jako motto do „Obywatela Kane’a” niewiele słyszało o tym „poecie jezior”.

Fan kina wojennego być może nie wie, lecz wielokrotnie słyszał, nie tylko cytaty z Szekspira, ale zna „Wydrążonych ludzi” T.S. Eliota, czytanych przez Marlona Brando w „Czasie Apokalipsy”. Niekiedy poetycka fraza, nadużywana, zaczyna się wycierać, już nas nie wzrusza. Słyszany zbyt często z ekranu „Poeta pragnie szaty niebios” Yeatsa – *Lecz biedny jestem: me skarby – w marzeniach/ Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy./ Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach*. – zaczyna nużyć.

W tym poetycko-filmowym kalejdoskopie wskazałbym dwa dzieła wyjątkowe. Powolny, wspaniale staroświecki – jakby w stylu Davida Leana lub Jamesa Ivory – obraz „Jaśniejsza od gwiazd” Jane Campion o życiu i przedwczesnej śmierci Johna Keatsa, poety przeklętego, który położył się cieniem na całej angielskiej liryce, od Byrona i Shelleya do Alfreda Tennysona. Zaś dzień śmierci Tennysona to osnowa najlepszego literackiego serialu grozy ostatnich lat. Gdy elektryzująca Eva Green mija katedrę w „Penny Dreadful”, odnajdujemy się w wiktoriańskim Londynie, zaś scenarzyści budują kolejne odcinki w oparciu o postmodernistyczną interpretację Marry Shelley, Oscara Wilde’a, R.L. Stevensona, patrząc wraz z Blake’em na *świat w ziarenku piasku*, kończąc przejmującym trenem Williama Wordswortha w scenie cmentarnej.

W Polsce podobną intensywność filmowej poetyki odnajdziemy tylko u Lecha Majewskiego, tworzącego wzorcową biografię literacką w „Wojaczku”, wplatającego – w „Onirice” – poetycką frazę w tkankę ekranowego dzieła.

Można się tylko dziwić, że nie powstały filmowe życiorysy polskich romantyków – są tam przecież i kompleks Edypa, i narkomania, seksoholizm, ojciec zdrajca, śmierć w przytułku i gra na giełdzie, jest wreszcie mistyczne szaleństwo. Więc mamy *róg złoty* czy tę z *niebios wyszywaną szatę*? ■

Paweł Chmielewski

projektor
kielecki
magazyn
kulturalny

Kielecki magazyn kulturalny

„PROJEKTOR”
dwumiesięcznik

ISSN 2353-1037

WWW.PROJEKTORKIELCE.PL

e-mail: projektorkielce@onet.eu

tel. 605 343 341

Wydawca: STOWARZYSZENIE TWÓRCZE „ZENIT”

ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce

WWW.ZENIT.ORG.PL

Redaktor naczelny: PAWEŁ CHMIELEWSKI

Okładka i logo: BOA

Skład, redakcja graficzna: KRYSZTIAN MUCHA

Współpraca: MAŁGORZATA ANGIELSKA, MARTA BARAN, MAŁGORZATA BIELECKA, DOMINIK BOROWSKI, SYLWIA GAWŁOWSKA, AGATE GOLD, OLIWIA HILDEBRANDT, PIOTR KARDYŚ, PIOTR KLETOWSKI, AGNIESZKA KOZŁOWSKA-PIASTA, MIROSŁAW KRZYSZTOFEK, IZABELA ŁAZARCZYK-KACZMAREK, MARTYNA MUSIAŁ, ADAM ORGANISTY, AGATA ORŁOWSKA, ŁUKASZ RAKALSKI, EMMANUELLA ROBAK, MICHAŁ SIEDLECKI, AGATA SUSZCZYŃSKA, ALEKSANDRA SUTOWICZ, MARTA TRECHOWSKA, ARTUR WABIK
ZDJEŃCIA: ANNA BENICEWICZ-MIAZGA, SYLWIA GAWŁOWSKA, WOJCIECH HABDAS, OLIWIA HILDEBRANDT, TOMASZ KOZŁOWSKI, KRZYSZTOF KROGULEC, AGATA SUSZCZYŃSKA
II strona okładki – Janusz Stolarski, monodram „Ecce Homo”. Fot. Wojciech Habdas

nakład: 1000 egz.

Druk: „JAWIST”, Kielce, ul. Warszawska 209

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadestanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

Spis treści:

TEMAT NUMERU: POEZJA

3. **Agnieszka Kozłowska-Piasta**
Okienko z wierszem (*Wyznaczniki poezji współczesnej, rozmowa z prof. Januszem Detką – UJK*)
5. **Michał Siedlecki**
Piękno prostej drogi (*Uta Przyboś, „Prosta”*)
6. **Sylvia Gawłowska**
Szukam słów by opisać wiarę, miłość i... ból (*Kielecka piosenka autorska i poetycka*)
9. **Agata Orłowska**
Justyny Bargielskiej wiersze podróżne (*Justyna Bargielska, „Selfie na tle rzepaku”*)
10. **Małgorzata Angielska**
Bywają rzeczy pospolite... (*Rzecz(Nie)Pospolita Poetów*)
12. **Aleksandra Sutowicz**
O chłopcu opętany przez lirykę (*Marian Buchowski, „Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury”*)
13. **Paweł Chmielewski**
Zdradzieckie śliwki Prufrocka (*Wit Pietrzak, „Ostrożnie, poezja. Szkice o współczesnej poezji anglojęzycznej”*)
14. **Emmanuella Robak**
Siedem znaczeń tekstu (*Motywy i symbolika tekstów w muzyce gotyckiej i okogotyckiej*)
17. **Paweł Chmielewski**
„Smuga cienia” Anji Orthodox (*Kulturowe topoty w utworze „Violette” Closterkeller*)
18. **Michał Siedlecki**
Wbrew konserwatywnej konfesyjności (*Piotr Bogalecki, „Szczęśliwe winy teolingwizmu: polska poezja po roku 1968 w perspektywie postsekularnej”*)
19. **Dominik Borowski**
Teraz i na zawsze (*Zbigniew Toborek, „Pozdrowienia dla wieczności”*)
20. **Michał Siedlecki**
Spotkanie Euterpe z Kalliope (*Julia Szychowiak, „Naraz”; Roman Honet, „Rozmowa trwa dalej”; Jacek Dehnel, „Seria w ciemność”*)
22. **Artur Wabik**
Kijów w „dymkach” (*Komiks wierszem po ukraińsku*)
23. **Emmanuella Robak**
R. Ů C ##### ##” +G.+”+W>B4Gg [mke [db€
(„Polish cybernetic poetry”)
24. **Agate Gold**
Perła w koronie (*Symbolika poetycka obrazu „Skarby Szeszamu” Stanisława Wyspiańskiego z Muzeum Narodowego*)

POGRANICZA KULTURY

26. **Martyna Musiał**
Sprawdzian wiary (*Denis Covington, „Zbawienie nad Sain Mountain”*)

MUZYKA

27. **Miroslaw Krzysztofek**
Coś poza dinozaurami (*Macroscream, „Macroscream”; Koreańska niespodzianka (Jambinal, „A Hermitage”)*)
28. **Marta Baran**
Ś(Happy)DM (*Koncert z okazji ŚDM – Kadzielnia*)
29. **Łukasz Rakalski**
Elektronika spoiwem dla pokoleń (*Darek Makaruk „Kino mocne”*)
30. **Marta Baran**
Zbożowa Etno-Reggae Fest (*Festiwal muzyki etnicznej w Bazie Zbożowej*)

FILM

32. **Marta Baran**
Reżyseria – pisarz (*„Żeromski w kinie i teatrze” – wystawa*)
33. **Piotr Kletowski**
Hollywood w cieniu swastyki (*Ben Urwand, „Kolaboracja. Pakt Hollywoodu z Hitlerem”*)
34. **Piotr Kletowski**
W kinie lepiej słyszeć (*„Historia Roja” – za i przeciw*)

LITERATURA

36. **Paweł Chmielewski**
Kosmos ocalonego (*Agnieszka Gajewska, „Zagłada i gwiazdy. Przeszłość w prozie Stanisława Lema”*)
37. **Agata Orłowska**
Co skrywa studnia (*Artur Laisen, „Studnia zagubionych aniołów”*)
38. **Aleksandra Sutowicz**
Te duchy wciąż krążą nad miastem (*Maja Wolny, „Czarne liście”*)
39. **Paweł Chmielewski**
Czy jesteś Shingą? (*Ursula K. Le Guin „Sześć światów Hain”*)

TEATR

40. **Agnieszka Kozłowska-Piasta**
Sztuką w lenistwo (*Festiwal teatralny Hurra!Art.!*)

HISTORIA

42. **Piotr Kardys**
Plansze, postaci, mapy, mundury, guziki... (*Wystawa „Akademia Górnicza w Kielcach” w Muzeum Historii Kielc*)
44. **Dominik Borowski**
Sześć dni z komisarzem Bujnickim (*Artur Baniewicz, „Pięć dni ze swastyką”*)
45. **Piotr Kardys**
Jedzie ciuchcia z daleka... (*Bartosz Kozak, „Zagnańskie kolejki wąskotorowe”*)

PLASTYKA

46. **Adama Organisty**
Śmierć jest bramą życia (*Maciej Bieniasz, malarstwo i rysunek w „Domu Praczek”*)
48. **Małgorzata Bielecka**
Pogranicza grafiki i malarstwa (*Prace Oliwii Hildebrandt w Galerii ZPAP „Tycjan”*)
49. **Marta Trechowska**
Humanoidy z siatki (*Sławomir Golonko, rzeźba, performance w Galerii Sztuki Współczesnej DST*)
50. **Agata Suszczyńska**
Ciężki jak piórko (*Wystawy: Bartłomieja Jarmolińskiego „Układ limbiczny”, Mateusza Kaczmarczyka „Fragmenty ciała”, „Triennale z martwą naturą” w BWA Kielce*)
52. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**
Mężczyzna w czerwonej czapce (*Malarstwo Rafała Hadziewicza w Muzeum Narodowym*)
54. **Oliwia Hildebrandt**
Pomiędzy filiżanką a talią kart (*„Alicja. Ilustracje” w Muzeum Dialogu Kultur*)

DESIGN

56. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**
Czy znasz ten znak? (*Druga Ogólnopolska Wystawa Znaków Graficznych w Instytucie Designu*)

ANTROPOLOGIA/FILOZOFIA

58. **Martyna Musiał**
Każdy z nas jest Pigmalionem (*Jan Stasieńko, „Niematerialne Galatee w wehikutach rozkoszy i bólu”*)

KOMIKS

59. **Piotr Kletowski**
Czarne dziury w ludzkiej duszy (*Charles Burns „Black hole”*)

PRZESTRZEŃ PUBLICZNA

60. **Oliwia Hildebrandt**
Podróżnicy (*Projekt „Nomada” Pawła Althamera*)

PRZEWODNIK

61. Punkty dystrybucji / Instytucje kultury

Okienko z wierszem

Agnieszka Kozłowska-Piasta

Mówi się, że Polska to kraj, w którym poezję pisze się masowo, ale mało kto ją czyta. Noblistka Szymborska humorystycznie stwierdziła, że na każde tysiąc osób tylko dwie interesują się poezją. W 2000 roku w Polsce wydano aż 800 tomików współczesnej poezji, więc chyba jednak nie było aż tak źle. Jak jest teraz? O dzisiejszej sytuacji polskiej poezji rozmawiałam z dziekanem Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, prof. Januszem Detką.

— JAK MA SIĘ WSPÓŁCZESNA POEZJA?

— Polska poezja jest mocna. Choć funkcjonuje teraz inaczej niż kiedyś, choć odeszli już ci najwięksi mistrzowie, to ich miejsce zaczynają zapępiać następni. Zresztą nawet ci mistrzowie: Herbert, Miłosz, Szymborska, no może poza Różewiczem, który był wielki od początku, nie byli sławni, znani i cenieni od samego debiutu, pracowali na swoją pozycję. Zresztą polska poezja nie zamykała się na tej czwórce. Choć trzeba przyznać, i zauważył to także krytyk profesor Piotr Śliwiński, że inni pozostawali w cieniu tych największych. Presja Starych Mistrzów była bardzo silna.

Po ich śmierci sytuacja uległa zmianie – Mamy wielu wyjątkowych poetów, choć niekoniecznie najmłodszych – tłumaczy. Profesor wylicza tłumacza i lingwistę już nieżyjącego Stanisława Barańczaka, dowcipnego klasyka opisującego rzeczywistość historyczną Bohdana Zadurę. Detka docenia także Ewę Lipską „dobrze poinformowaną” racjonalistkę, która ani sama nie ma, ani innym nie pozostawia złudzeń,

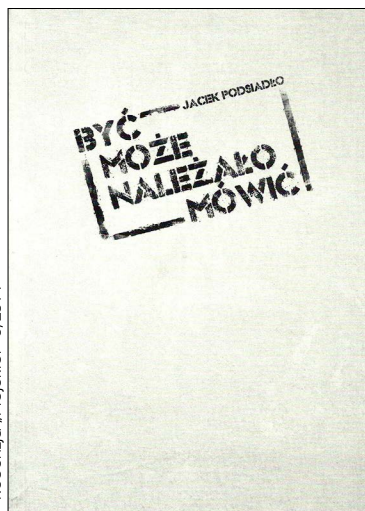
co do tego, jak wygląda świat współczesny. – Dzięki temu specyficznemu podejściu do świata – sceptycznemu dystansowi do nowoczesności – nazwałbym ją spadkobierczynią Wisławy Szymborskiej – dodaje. Profesor wspomina także o Adamie Zagajewskim, ale

Wiersz jest próbą poszukiwania, jak językowo wyrazić siebie i świat.

wyróżnia redaktora naczelnego „Literatury na świecie” Piotra Sommera.

— Sommer rozpoczynał od tłumaczenia literatury amerykańskiej i irlandzkiej. Jego poezja to próba poszerzenia możliwości języka o żywioł codziennej konwersacji. To jego tłumaczeniom m.in. poezji Franka O’Hary zawdzięczamy powstanie pokolenia BruLionu w takim, a nie innym kształcie – wyjaśnia prof. Detka. Poezja krajów anglojęzycznych jest jedną z podstawowych inspiracji poezji polskiej. Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło, Miłosz Biedrzycki wkroczyli na arenę polskiej literatury w czasach przełomu. Zaczęli pisać o sobie,

Recenzja „Projektor” 5/2014



Recenzja „Projektor” 6/2014

swoich doświadczeniach, egzystencji, szczegółowo opisując czas i miejsce i robili to w sposób bardzo indywidualny, niezależny.

Choć młodzi poeci z BruLionu już wyrosli, a nawet dojrżeli, nadal są obecni w polskiej przestrzeni literackiej. – Wysoko oceniam ubiegłoroczny tomik Świetlickiego

„Delta Dietla”, poetycki portret Krakowa – dodaje dziekan. – Nie można zapominać o koledze z wydziału. Od 25 lat Krzysztof Jaworski tworzy wiersze. Jego tomik „byłem” to przewrotne, ironiczne, bez patosu, poetyckie zmaganie się z rzeczywistością i współczesnością, która nie do końca mu odpowiada. Ironiczny jest także Darek Foks, który chętnie czerpie z zasobów współczesnej popkultury, przerabiając jej przejawy na swoją poetycką modłę.

Skoro tych najlepszych współczesnych poetów dzieli często pokolenie, jak odnaleźć wspólny mianownik polskiej poezji współczesnej? Zdaniem profesora Janusza Detki, istnieje kilka dominant. Po pierwsze: poezja była zawsze i nadal pozostała poszerzaniem

Recenzja „Projektor” 3/2016

HISTORIA KINA POLSKIEGO

DAREK FOKS



wyjaśnia mój rozmówca.

Po drugie: poezja anglistów-tłumaczy, których twórczość jest jakby kolejnym krokiem twórczości po tłumaczeniu literatury, a zwłaszcza poezji pisanej w języku angielskim. Do poetów anglistów prof. Detka zalicza Stanisława Barańczaka, Piotra Sommera, Andrzeja Sosnowskiego czy profesora Uniwersytetu Łódzkiego Jerzego Jarniewicza i jego ostatni tomik „Woda na Marsie”.

Po trzecie dobry poeta nie musi mieszkać w Warszawie czy Krakowie. Przykładem może być choćby mieszkający w Opolu laureat nagrody Kościelskich i nominowany do nagrody Nike za „Dwanaście stacji” Tomasz Różycki czy kielczanin Krzysztof Jaworski.

Czwartą ważną cechą współczesnej poezji polskiej są konteksty kulturowe, odniesienia do innych tekstów, znaków, obrazów, dzieł, twórcze cytaty i trawestacje. – Poezja nie istnieje w oderwaniu od całej kultury. Poeci w świadomy sposób z niej korzystają i twórczo ją

przetwarzają – opowiada prof. Detka.

Współczesne tomiki poetyckie wydawane są przez niezależne, czę-

sto działające na zasadach non profit wydawnictwa. Drukują się je w znikomej ilości, więc nie chwalą się nakładami. Nowe tomiki nie trafiają także do wielkich sieciowych księgarni, w których na półkach stoją tylko klasycy, nobliści lub ci, których odnajdziemy na listach szkolnych lektur. Rzadko informują o nich media,

poetów nie spotkamy w telewizji, chyba, że na kanale TVP Kultura. Jak więc na nie trafić?

— Poezja istnieje i kto będzie chciał, na nią trafi i znajdzie coś dla siebie – uspokaja dziekan Detka. – Przecież od zawsze przeznaczona była tylko dla nelicznych. Jedyne formy komunikacji były papier lub bezpośredni kontakt z odbiorcą, a poeci od zawsze skarżyli się, że nikt ich nie czyta, nie słucha. „Sobie śpiewam a Muzom. Bo kto jest na ziemi, Co by serce ucieszyć chciał pieśniami memi? – pisał Kochanowski. A jak zaczyna się Wielka Improwizacja w „Dziadach”? „Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi? Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wystucha, Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?”.

— Czyli nie ma o co kruszyć kopii?

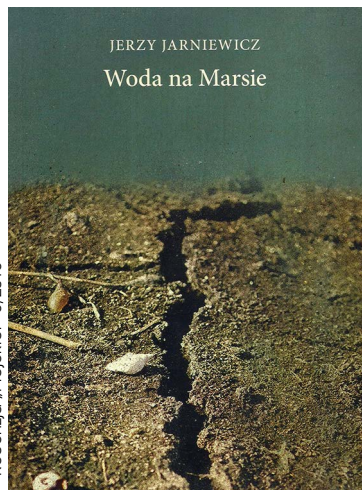
— Współcześnie jest trochę trudniej. Choć mediów przybyło, to na poezję nie ma w nich miejsca. Zlikwidowano czasopisma kulturalne, te które zostały mają małe nakłady. Wielkie dzienniki zrezygnowały z okienek z poezją. Tylko „Gazeta Wyborcza” raz w tygodniu drukuje jeden utwór. Kiedyś to było naturalną częścią każdego gazetowego wydania. Ten wiersz, często specjalnie zamówiony, komentował wydarzenia, był czę-

ścią codzienności. Teraz nie istnieje w szerokiej świadomości. Co prawda mamy internet, blogi, strony poświęcone poezji, ale kto na nie zagląda?

W y j s c i e m z sytuacji byłoby chyba wykorzystanie wierszy inaczej. Już próbowano. Są murale, Loesje, projekcje wierszy na

krakowskich budynkach. Profesor i tutaj widzi szansę dla poezji: miks tekstu, warstwy graficznej i ciekawej formy, liberatura, która wesprze przekaz poezji. Wtedy też niestety nie trafią do masowej publiczności, tylko do galerii i bibliotek. – Nie lubię, gdy książki kurzą się na półkach w domach czy bibliotekach. Każda forma dotarcia do czytelnika, oczywiście, jeśli będzie na odpowiednim poziomie (niech to nie będzie gazetka z supermarketu) jest szansą. Na początek wystarczyłoby okienko z poezją może nie w druku, ale na każdym ważnym portalu informacyjnym – proponuje prof. Detka. ■

Recenzja „Projektor” 5/2015



JERZY JARNIEWICZ
Woda na Marsie

Poezja nie istnieje
w oderwaniu od całej
kultury.

Michał Siedlecki

Wśród potopu mniej lub bardziej wartościowych poetyckich nowości na naszym rynku wydawniczym, warto szczególnie zwrócić uwagę na ubiegłoroczny tom „Prosta” (2015) Uty Przyboś, który walczył we wrześniu o finałową siódmkę 20. jubileuszowej edycji

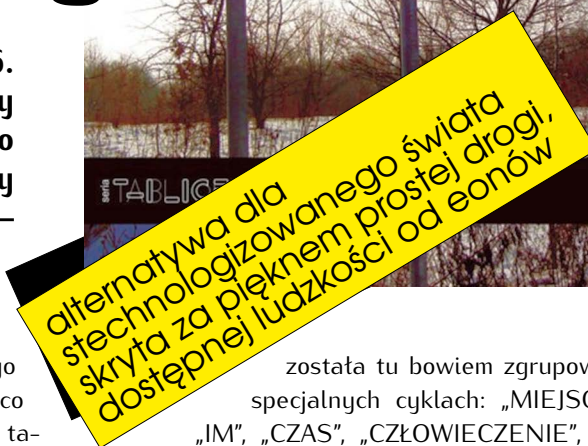
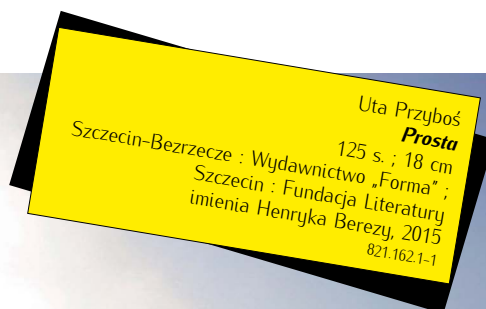
Nagrody Literackiej „Nike” 2016. To intymny, na poły baśniowy zbiór poetki, w treści którego odnajdziemy między innymi prawdy uniwersalne o współczesnym – często wyjątkowym z wartości humanistycznych – świecie.

AUTORKA „PROSTEJ” JEST córką wybitnego polskiego poety Juliana Przybosia, po którym, co wszystko na to wskazuje, odziedziczyła – prócz talentu pisarskiego – również szczególną umiejętność symbolicznego portretowania świata, nie tylko w jego lirycznych odstonach, ale także w bliskich słowu pisanemu inklinacjach malarskich. Nie wszyscy bowiem wiedzą, że cykl poetycki Przybosia zatytułowany „Wiersze dla Uty” (1970), ukazał się kilkadziesiąt lat temu z rysunkami jego kilkunastoletniej wówczas córki.

„Prosta” to już czwarty zbiór Przyboś. Wcześniej opublikowała ona następujące tomy: „Nad wyraz” (2007, Kielce), „A tu tak” (2009, Kielce) oraz „Stopień” (2012, Kielce). O randze literackiej najnowszej książki poetyckiej artystki – składającej się aż ze stu jeden wierszy – świadczy choćby fakt, że dotarła ona w tym roku do finału piątej edycji „Orfeusza” – Nagrody Poetyckiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Otwierający ubiegłoroczny zbiór Przyboś wiersz „Ścieżki” wyróżnia się od pozostałych liryków poetki, nie tylko najbardziej literalnym podjęciem w nim przez artystkę motywu ludzkiej drogi, zakłętej w zawitych meandrach naszego losu, ale również specyficzną lokalizacją w jej tomie, niepodlegającą żadnym tematycznym przyseregowaniom. Reszta wierszy pisarki

Piękno prostej drogi



została tu bowiem zgrupowana w siedmiu specjalnych cyklach: „MIEJSCE”, „WYRAZY”, „IM”, „CZAS”, „CZŁOWIECZENIE”, „DROGA” oraz „ZAWIKŁANIA”. Tom Przyboś został również wzbogacony pięknymi zdjęciami autorstwa: Andreyi Kulikovej oraz Pawła Nowakowskiego.

Bardzo ważnymi wierszami w tomie „Prosta” pozostają także utwory: „Drogi” oraz „Sanktuarium”. W pierwszym z nich poetka snuje bowiem swoje metafizyczne spekulacje nad sensem ludzkiego życia i celowością wszechrzeczy. W drugim – o chrystocentrycznym wymiarze – ukojeniem problemów egzystencjalnych człowieka okazuje się jego wewnętrzna duchowość.

Zdaniem Piotra Michałowskiego, najnowszy zbiór Przyboś wypełnia odwieczną misję poezji, wyrażającą się w powrocie do pierwotnej jedności słowa z okalającym je uniwersum. Idąc tropem przemysłu badacza, wypada tutaj dodać, że poetka ukazuje nam w niniejszym zbiorze alternatywę dla stechnologizowanego świata, która skrywa się za pięknem prostej drogi, dostępnej przecież ludzkości od eonów lat, (...) która bez początku i końca.../ (...) nieskończenie niematerialna.../ istnieje tylko w ludziach.../ prawdziwa.../ czysta.../ logiczna...■

Szukam słów, by opisać wiarę, miłość i... ból*

Sylwia Gawłowska

W wypowiedziach badaczy współczesnych tekstów kultury popularnej, do której zaliczamy twórczość piosenkową pojawiają się głosy sygnalizujące „rozmycie semantyczne”, któremu uległa szeroko rozumiana twórczość „piosenkarska”. Nieustanne przenikanie się muzycznych nurtów, potoczne definiowanie poszczególnych gatunków piosenki oraz nieugięte prawa przemysłu kulturowego, doprowadzają do zatarcia granic pomiędzy tym, co wysokie, a tym co niskie.

ISTNIEJE JEDNAK WYRÓŻNIK, decydujący o tym, czy wśród licznych prób twórczości słowno-muzycznej mamy do czynienia ze zjawiskiem autentycznym, reprezentującym jakość w sztuce. Mowa tu o „autorskości”. Rozstrzyga ona o swoistej nierozzerwalności autora z twórczością. Posiada wymiar przekraczający kwestię autorstwa tekstu i muzyki, czy wykonania. „Autorskość” odnosi się do pojęcia charyzmy, oddziela piosenkę autorską od innych jej gatunków: piosenki literackiej, poezji śpiewanej, piosenki artystycznej etc. „Autorskość” to nietypowy element, który sprawia, że piosenka – pomimo nowych interpretacji, wykonanń oraz wcieleń nie traci kontaktu ze swoim autorem. W tym rozumieniu autorską twórczością określilibyśmy twórczość Grzegorza Ciechowskiego, Edyty Bartosiewicz, Tadeusza Nalepy, Piotra Bukartyka czy grupy Lao Che. A jak wygląda ta kwestia w przestrzeni twórców związanych z regionem świętokrzyskim? Czy wśród naszych artystów z kręgu, szeroko rozumianej, twórczości piosenkowej znajdziemy takich, których twórczość pretenduje do miana twórczości „autorskiej”?

DUSZA NIBY SKRZYPCE

Z pewnością „autorskość” jako najbardziej symptomatyczny wyróżnik jakości utworu słowno-muzycznego towarzyszyła twórczości kojarzonego z nurtem

poezji śpiewanej Marka Tercza. „Jak pająk po nitce”, „Nie wydaj mnie na pożarcie smokom”, „Panta Rhei” czy „Dydaktyka” – to nieliczne z wielu piosenek Tercza, które doczekały się wykonanń przez młodszych pokoleniowo wykonawców: Tomasza Steńczyka, Piotra Dąbrówkę, Roberta Kasprzyckiego czy Ilonę Sojgę



Marek Tercz. Fot. Sylwia Gawłowska

(de facto nagrywającą właśnie pierwszą płytę). „Autorskość” twórczości Marka Tercza wykracza poza granice autorstwa tekstu, muzyki i sceniczności, która w silny sposób nawiązuje do bardowskiej estetyki wykonania, wpisując tę twórczość w potoczne rozumienie gatunku poezji śpiewanej. Jednak mamy tu do czynienia z tekstem o poetyckiej nadorganizacji, uwzględniającej kompozycję muzyczną – a więc z tekstem piosenkowym.

Ten rodzaj korelacji sprawia, że piosenki Marka Tercza wychodzą poza potoczne rozumienie nurtu poezji śpiewanej:

*Śpiewam Wam, a dusza moja
Niby skrzypce
Do nieba, do nieba się wspina
Jak pająk po nitce*
(„Jak pająk po nitce”).

„BABCIA” BLUES

Analogiczna sytuacja towarzyszy twórczości blues-rockowego artysty Marka „Babci” Dubeltowicza – frontmana aktywnej w latach 80. i reaktywowanej kilkakrotnie grupy Heaven Blues (koncertującej przed dwoma laty pod nazwą Nowa Rzecz). Podobnie jak w przypadku piosenek Marka Tercza – autorskość Marka „Babci” Dubeltowicza opiera się na swoistej niepowtarzalności scenicznego wykonania – charyzmie, która – zdawałoby się dość jednolitym kompozycjom bluesowym – nadaje wymiar wypowiedzi o wysokim kunszcie artystycznym – zarówno w zakresie warstwy słownej:

*Twe oczy jak zamglone,
rozmarzone morze*

*Płynie do mnie
Wędrówka rąk*

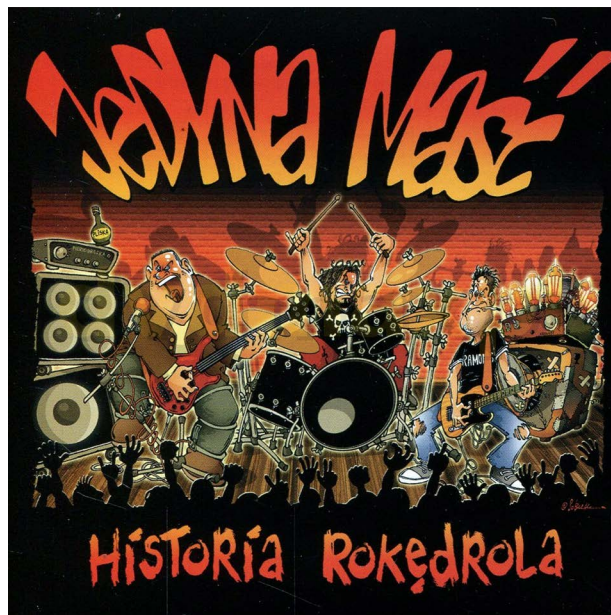
*po łące Twojej twarzy
Jak cudownie jest*

*gdy płoną zmysły
Gorejące wielkim ogniem*

*Rozpalają Ciebie
I mnie*

(„Erotyk bardzo”),

warstwy muzycznej, jak i wykonawczej. Niezwykle istotnym utworem Dubeltowicza, ze względu na tzw.



tekst zaangażowany, jest powstała w 1987 r. piosenka „Człowieku, jak Ty nisko upadłeś”. Bezsprzecznie wpisuje się ona w nurt rockowego protest-songu. Wyrażona w tekście kontestacja, świat zrelatywizowanych wartości sprawia, że autorska wypowiedź Dubeltowicza staje się głosem pokolenia a przy tym, pomimo upływu 20 lat nie traci na aktualności.

*Człowieku! Jak Ty nisko upadłeś
Nawet nie jest Ci wstyd...
Za to,
że każdy może napluć Ci w twarz
A Ty nic nie powiesz, bo...
Niczym głodny pies
Od każdego weźmiesz kość.*
(„Człowieku”, 1985).

UNIVERSITY OF FREEDOM!

Jako autorską określić możemy twórczość nieistniejącego już dziś zespołu MENoMiNi. Stworzona przez nich piosenkowa jakość jest bezsprzeczna. Utwory z tekstami Michała Zapały oraz Sławomira „Kolki” Błacha w reggaeowych aranżacjach posiadały wymiar piosenek nie tyle lekkich i przyjemnych, a – co zdarza się nieczęsto – piosenek mądrych. Na wydanej w 2007 r. płycie „Z pierwszego tłoczenia” znajdziemy autorefleksyjne utwory odnoszące się do problematyki egzystencjalnej. Walory poetyckie tekstów oraz zawarta w nich myśl („Maj łof”, „Widzę Cię”, „Jazz”) w połączeniu ze stworzonym przez muzyków brzmieniem oraz charyzma i liryczność wokalu Michała Zapały stanowią o „autorskości” piosenek tej grupy.

Czy wśród naszych artystów z kręgu, szeroko rozumianej, twórczości piosenkowej znajdziemy takich, których twórczość pretenduje do miana twórczości „autorskiej”?

*Sam nie wierzę sobie
Nawet w połowie*

*Życie po sobie zamiętam
Marnuję dzień za dniem*

*A to nie wraca...
Nie śmiejecie się ze mnie!*

*Nie śmiejecie się ze mnie! (...) Buduję wolność
mojego otarza*

*University of Freedom!
(„MM RAP”)*

„MIĘSO”, „GUWNO” I ROCK&ROLL

Interesującym zjawiskiem na kieleckiej scenie muzycznej była grupa Jedyna Maść. Publiczności ukazywała się ona pod różnymi postaciami. Jak to zwykle bywa – nie brakowało w tej formacji zmian osobowych. Jednak niezmienną, być może fundamentalną dla Jedyniej Maści cechą był ironiczno-buńczuczny koncept estetyczny, stanowiący wspólny mianownik wszystkich

piosenek zespołu. Już samo określenie „zespół towarzysko-pijący” czy „najlepszy zespół w Polsce” doskonale odzwierciedla osobniczą, przepełnioną sarkazmem i pastiszem ideę kieleckiej formacji. Założony przez rysownika – Grzegorza Sobczaka oraz basistę Marka Wronę i gitarzystę

Oskara Wilmana zespół, znalazł liczne grono odbiorców a nawet fanów. „Autorskość” Jedyniej Maści objawiła się właśnie w tym szczególnym, przemysłanym koncepcie estetycznym, w którym rubasznosc, rockowa aranżacja i sceniczny koloryt wykonawców spotykał się z wyrażaną w tekście bezkompromisową krytyką i inteligentnym – niejednokrotnie czarnym – humorem. Najwyraźniej ujawniającą się w tej twórczości kategorię stanowiła kategoria dystansu:

Już samo określenie „zespół towarzysko-pijący” czy „najlepszy zespół w Polsce” doskonale odzwierciedla osobniczą, przepełnioną sarkazmem i pastiszem ideę kieleckiej formacji.

*Śmierć, moja własna śmierć
Cierpienie i miłość – to wszystko już było
Śmierć! Moja własna śmierć!
(„Moja własna śmierć”)*

lub

*Jesteśmy smutni i źli
Jesteśmy smutni i źli
Jesteśmy, jesteśmy... zmęczeni!
(„Zmęczony”);*

*Chatturę robię tu
Pracuję w KCK-u.*

*Magda, kochanie!
Daj na wstrzymanie!*

*Chatturę robię tu...
(„Chatturę robię tu”).*

Powierzchnowe rozumienie twórczości Jedyniej Maści sprowadzić by nas mogło na manowce. Moglibyśmy ulec przekonaniu, że to twórczość banalna. W istocie mamy tu do czynienia z przemyślaną i konsekwentną wypowiedzią, w kpiarski sposób komentującą rzeczywistość społeczną, polityczną i gospodarczą. Odwaga, której z pewnością odmówić Jedyniej Maści nie sposób, sprawia, że nie możemy pominąć tej twórczości rozpatrując „autorskość” piosenki w środowisku naszych lokalnych twórców.

I INNI...

Na szlaku „autorskich” zjawisk piosenkowych na kieleckim gruncie pojawiają się wciąż zjawiska nowe: zespół Wolni Ludzie, SIE z charyzmatycznym Piotrem „Stiffem” Stefańskim na czele, Folya, 4 Acoustic, Zmiana Czasu. To dobry zwiastun i piękna nadzieja, że wśród bylejakości i lawiny pseudoartystycznych wypowiedzi wciąż rodzą się takie, w których poza tekstem i muzyką jest jeszcze... myśl. ■

*Tekst piosenki „Szukam słów”
Kamila „MarleyJaha” Sewerzyńskiego.



Agata Orłowska

Justyny Bargielskiej wiersze podróżne

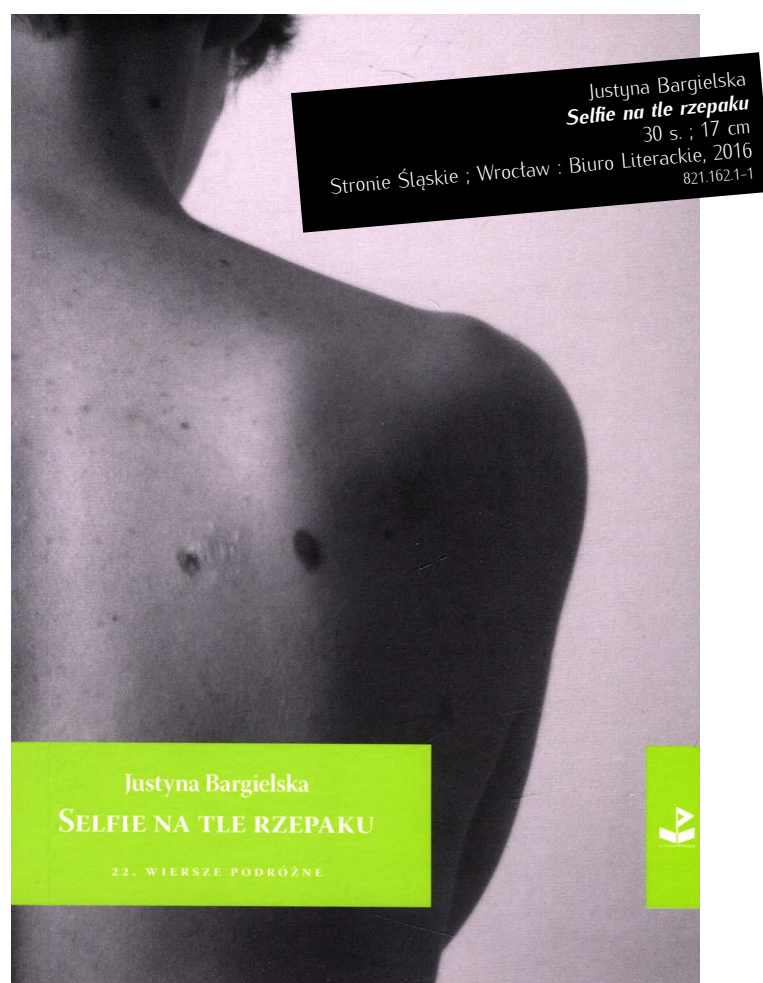
AUTORSKI WYBÓR WIERSZY warszawskiej autorki, to rzecz nowa w formie, ale tylko w formie zestawienia, treściowo bowiem częściowo wywiedziona z poprzednich tomików. Wśród dwudziestu dwóch utworów serii, znaleźć można twórczość pochodzącą z „Dwóch fiatów”, „Nudelmana”, „Dating Sessions” oraz „Bach for my Baby”. Jak przekonuje poetka, jedyne kryterium doboru do „Selfie...” to kryterium ilościowe. Czy aby na pewno? Zanurzając się w lekturze nie trudno przecież doszukać się powracających leitmotivów i wspólnych odniesień.

Tym, co wydaje się spajać „podróżniczą” twórczość jest ważkość każdego z podjętych tematów, skrywana pozornie pod płaszczykiem błahostek i szczegółików w charakterystyczny, niepodrabialny sposób. Jest więc tu miejsce dla śmierci, macierzyństwa, przemijania, miłości, moralnych dylematów, znaku czasów... Wszystko to oszczędnie, płynnie, bez patosu. Nutą przewodnią w warstwie formalnej jest narracyjność, luźne scenki, tyleż konkretne, co nieuchwytnie, nieprzekładalne na dyskursywny język. *Szybkoobrotowa wirówka, w której odwirowany zostaje język*, jak czytamy za Sabiną Misiarz-Filipek, to chyba słuszne określenie uprawianej stylistyki. Istotnie, język Bargielskiej nie jest łatwy i choć czytelnika zwodzić może na interpretacyjne manowce, dla niej zdaje się czymś naturalnym, bezoporowym, plastycznym. Permanentnie zaskakuje i nawarstwia konteksty. Dlatego też jest tak atrakcyjny.

Czy wszystkie z dwudziestu dwóch wierszy są warte zatrzymania i semantycznej ekwilibrystyki? Prawdopodobnie nie. Są jednak takie, które nie potrzebują wysiłku, by pomiędzy autorką, a odbiorcą zbudować intymny pomost („Inna Róża”, „Sól i ogień”). Są też i te, które dopiero za linią tekstu tworzą głębsze obrazy i odbijają się echem („Nie mili ludzie, ale staw pokryty rżęsą”). Choć nie każdy przejrzy się w poezji Bargielskiej, jak w lustrze, jej osobiste, wewnętrzne przeżycia dojmują emocjonalnym bagażem. Emocje te nie podawane są jednak wprost, nachalnie. Ból po utracie dziecka, tęsknota przewijająca się to tu tam („Sól i ogień”, „Jednym słowem”) nie roztkliwiają, przynoszą raczej dziwny rodzaj spokoju. Rzeczywistość widziana oczami poetki otwiera na obserwację świata, który mamy tuż obok, za rogiem, innym razem tworzy rodzaj pożądanego dystansu („Selfie ze złotym siurkiem”, „Ding”). Zawsze jednak ukazuje go w nieznaną nam dotąd, zadziwiający sposób. ■

język naturalny, bezoporowy, plastyczny

Zaproponowana przez Biuro Literackie wraz z początkiem 2016 roku kieszonkowa seria „22. Wiersze podróżne” to zaproszenie do podróży nie tylko *przez poezję*, ale i *z poezją*, wszak poza tradycyjnymi miejscami sprzedaży poręczne tomiki znaleźć można – a czemu by nie? na dworcach i lotniskach. Do szacownego grona trójki „podróżniczych” poetów: Jacka Dehnela („Seria w ciemność”), Romana Honeta („Rozmowa trwa dalej”) i Julii Szychowiak („Naraz”) dołączyła niedawno także Justyna Bargielska, publikując swoje „Selfie na tle rzepaku”.



Bywają rzeczy pospolite...



Małgorzata Angielska

Początek wakacji – podsumowanie roku artystycznego Rzeczy(Nie!)Pospolitej Poetów. Jest to „wymysł kielecki” – tak go nazywa inicjator, Szczęsny Wroński. Spotkania odbywają się w klubie „Czerwony Fortepian”, przy wtórach klimatycznej muzyki, często improwizowanej. Służą one przypomnieniu zapomnianej, pięknej polskiej liryki.

AMATORZY MAJĄ SZANSĘ pokazać swoje utwory, zderzyć je z tekstami doświadczonych autorów i spotkać się z polemiką słowno-muzyczną. Umieszczenie lokalu – zejście w podziemie, pulsująca czerwień ze ścian i intymne wnętrza sprzyjają takiej inicjatywie.

Rozmawiam ze Szczęsnym Wrońskim, poetą, inicjatorem spotkań.

— **DLACZEGO CYKL TYCH WYDARZEŃ NAZWAŁ PAN RZECZĄ(NIE!)POSPOLITĄ POETÓW? SKĄD WZIĘŁA SIĘ TAKA INICJATYWA?**

— Bywają rzeczy pospolite... Myślę, że dla równowagi trzeba powoływać rzeczy, wydarzenia niepospolite, przy których mogliby się spotykać ludzie mający coś do powiedzenia, chcący być razem, tworzyć wspólnotę, jednocześnie będący indywidualnościami. Ja od lat w różnych miejscach w Polsce, przede wszystkim

w Krakowie, organizowałem tego rodzaju spotkania. Natomiast Rzecz(Nie!)Pospolita Poetów jest takim wymysłem kieleckim, ponieważ od kilku lat mieszkam na stałe w Kielcach. Pomysł polega na tym, żeby spotykali się ludzie sztuki, poeci, muzycy, aktorzy, żeby pod moim kierunkiem tworzyć taką atmosferę wspólnoty, bycia, rozmowy... Ale nie takiej polemiki intelektualnej, ale przede wszystkim takiej rozmowy poprzez dzieła sztuki, wiersze, happeningi itd. Tutaj takich spotkań było osiem, występowało w sumie około trzydziestu poetów. Oprócz nich bywali też muzycy, aktorzy czy plastycy.

— **Kto był gościem tych spotkań?**

— To głównie poeci kieleccy: Romuald Bielenda, Anna Błachucka, Krzysztof Korczyński (z Krakowa), Benedykt Kozieł, Grzegorz Kozera, Piotr Lamprecht (z Warszawy, zakonnik), Henryk Morawski, Stanisław Nyczaj, Kazimierz Morawski, Elżbieta Musiał, Katarzyna Ryrych (Kraków), Adam Ochwanowski, Andrzej Piskulak, Tomasz Piwko, Kazimierz Ryk, Jerzy Sitarz, Agata Sobota, Władysław Szproch, Emil Tokarczyk,

Marta Węgrzynowicz-Pichta (Kraków), Barbara Wrońska, Maria Włodno, Anna Zielińska-Brudek, oraz osoby związane z grupą „Słowniacy Świętokrzyscy”: Magda Banaś, Karolina Bugajska, Karolina Gregorczyk, Katarzyna Lesiak, Katarzyna Szychowska. Opiekunem grupy jest Anna

Bywają rzeczy pospolite...
Myślę, że dla równowagi
trzeba powoływać rzeczy,
wydarzenia niepospolite...

Błachucka. Aktorzy, którzy u nas bywali, to Teresa Bielińska, Mirosław Bieliński, Agata Sobota, Dawid Żłobiński. Ze środowiska muzycznego – Marzena Trzebińska, Lech Stawiński (akordeon), Arkadiusz Bednarski (gitara), Pete Grace, zespół Zmiana Czasu z liderem Michałem Zapatą oraz z Karolem Dobrowolskim, Kubą Koziołem i Łukaszem Fiałkowskim. Wśród plastyków znaleźli się: Zbigniew Kubicki, Tomasz Olbiński. Fotografiami zajmowali się Zbigniew Buczkowski, Małgorzata Kaczmarek, Marcin Michalski.

— **WIELE ZNANYCH NAZWISK. CZY W PRZYSZŁYM ROKU BĘDZIE KONTINUACJA TYCH SPOTKAŃ?**

— Najprawdopodobniej. Wszystko zależy od tego, co będzie działo się ze mną i od tego, czy będzie odpowiednie zainteresowanie. Natomiast dzisiejsze spotkanie jest zdecydowanie inne od poprzednich. Dlatego, że na każdej z tych spotkań zapraszałem dwóch, trzech poetów, których zderzałem ze sobą, również muzyków. A ta muzyka miała charakter nie tyle, że akompaniamentu, ale tworzyła integralną całość brzmienia z wierszami. Towarzyszyły tym spotkaniom też mini-koncerty zaproszonych wykonawców. Trzeba nadmienić, że „Rzecz(-Nie!)Pospolita Poetów” nie jest dotowana, wszyscy artyści zawodowi i amatorzy występują tu za darmo.

— **CZY WŚRÓD MŁODYCH POETÓW SĄ OSOBY, KTÓRE TWORZĄ KOMBINACJĘ MUZYKI I SŁOWA?**

— Taką osobą była Magda Banaś, która wystąpiła z zespołem Zmiana Czasu. Napisała słowa do wykonywanego przez nią utworu.

— **DZIĘKUJĘ BARDZO ZA ROZMOWĘ.**

— Dziękuję, życzę miłych wrażeń.

Spotkanie rozpoczęło krótkie przemówienie pomysłodawcy. Doświadczonym autorom całej wieczór towarzyszył śpiew a cappella Alicji Rozborskiej, która jest wokalistką zespołu Atlas Motyli, wykonującego heavy wood music, mieszanki bluesa i etno-reggae.

Tym razem poeci prezentowali jeden swój utwór, a drugi Tadeusza Peipera (przypadła 125 rocznica urodzin) lub Juliana Przybosa (115. urodzin). Usłyszeć można było gospodarza wieczoru z wierszem „Igła i nić”. Publiczność klaskała do rytmu.

Barbara Wrońska wybrała wiersz Peipera „Czyli”, którego wydźwięk jest bardzo pesymistyczny

Czyli: bez naszych zbrodni nie ma naszych cnót; kryminat jest boczną nawą kościoła. Czyli bóg bez wrzodów mami.

Czyli: ulicę idę, a pod pachą taskocze mnie gwiazda.

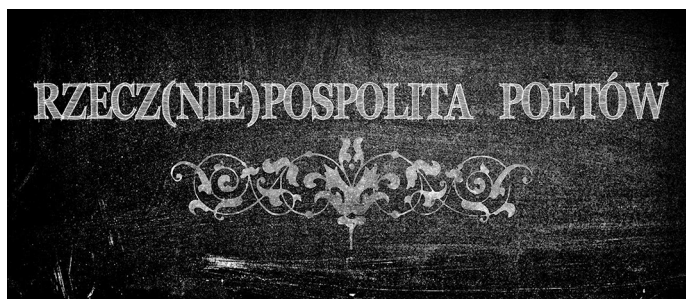
Czyli: krople krwi = krople krwi? Czyli:

miód niosą na paznokciach ci którzy grzesząc tworzyli.

Ponadto zaprezentowali się: Elżbieta Musiał, Anna Błachucka, Emil Tokarczuk z Suchedniowa, Stanisław Nyczaj, Anna Lachnik, Maria Włodno, Elżbieta Janota, Barbara Wrońska oraz anonimowi uczestnicy spotkania. Spotkanie zwieńczył gospodarz.

Na szczególną uwagę zasługują improwizacje Alicji Rozborskiej. Utwory poetów, nieczęsto trafiające w mój gust, zyskały dzięki magnetyzmowi, bluesowo-soulowemu głosowi wokalistki. Organizatorzy przeprowadzili również paraawangardową zabawę – poemat, który został „rozcłonkowany” i rozdany obecnym na sali i uzupełniony próbą stworzenia happeningu muzycznego, który – trzeba przyznać – był w dobrym guście. Ale do stworzenia prawdziwego wydarzenia brakowało trochę energii i chęci autorów.

Wielka szkoda, że nikt z młodych poetów nie uczestniczył w tym wydarzeniu. Było ono skierowane właśnie przede wszystkim do początkujących poetów, a tego pierwiastka nie dało się zastąpić nawet najbardziej śmiałymi próbami stworzenia futurystycznego klimatu przez inicjatora spotkania. ■



O chłopcu opętanym przez lirykę

Aleksandra
Sutowicz

Marian Buchowski
Buty Ikar. Biografia Edwarda Stachury

659 s. ; 25 cm

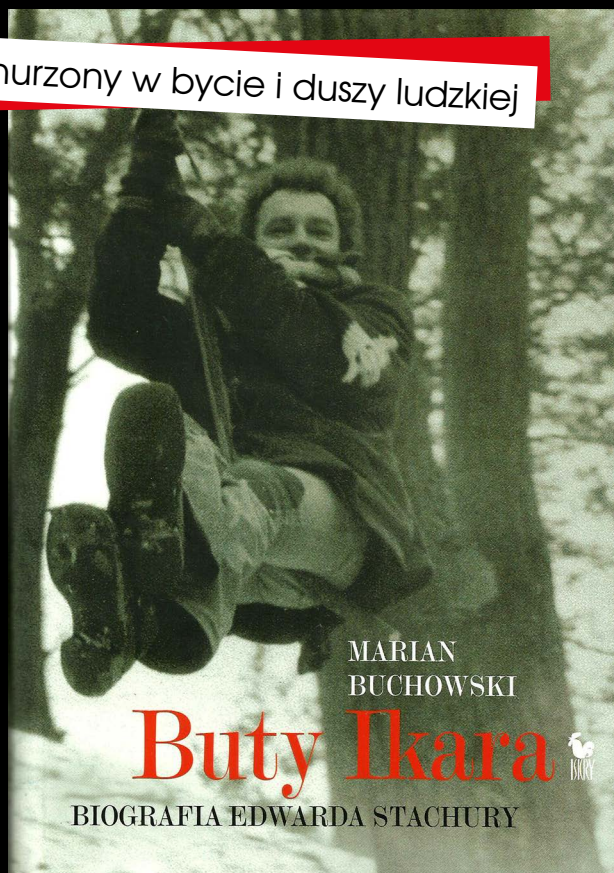
Warszawa : Wydawnictwo Iskry, 2014
821.162.1(091)*19*929-052(438)*19*

Samotny pośród tłumu fanów. Bard, który przez całe swoje życie szukał miejsca na ziemi i mimo licznych podróży po świecie wszędzie czuł się bezdomnym włóczęgą. Szczegółową biografię i nieznane dotąd fakty z życia Edwarda Stachury przedstawia Marian Buchowski w swojej najnowszej książce poświęconej jego życiu i twórczości „Buty Ikar”.

OBSZERNA LEKTURA DOSTARCZA nowych informacji o jednym z najstynniejszych poetów po 1945 roku, który tworzył lirykę przesiąkniętą wrażliwością na naturę, współodczuwaniem. Dzięki niej dowiadujemy się o trudnych początkach życia poety po przyjeździe do Polski w 1948 r. z Francji, gdzie się urodził. Autor „nakłada” tytułowe buty i w nich przemierza świat „Steda”, zagląda w najgłębsze zakamarki jego życia, analizuje korespondencję, przywołuje relacje osób, które bardziej lub mniej osobiście znały jednego z najpopularniejszych bardów polskiej poezji. To swego rodzaju powieść, wielowątkowa, ale najważniejszym jej spoiwem jest właśnie Edward Stachura, jego życie i twórczość.

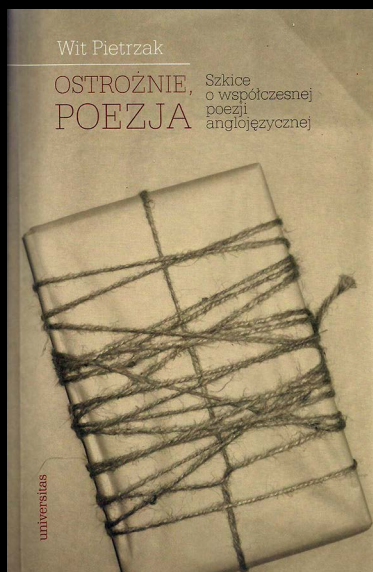
Buchowski rozważa sposób funkcjonowania Edwarda Stachury w systemie komunistycznym, wspomina, że jego twórczość pozbawiona była politycznych aluzji, nawiązań, nawet w czasie wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 czy Radomiu 1976. Jego dzieła wyróżniają się apolitycznością, być może dlatego też literatura Stachury była akceptowana przez władzę ludową i uważana za niegroźną. Marian Buchowski nieco odczarowuje postać Stachury, przedstawia jego konflikt z ojcem, biedne czy wręcz nędzne życie autora „Siekierzady”, który nie stronił od flirtowania czy nawet uwodzenia starszych kobiet by uzyskać od nich matę

człowiek zanurzony w bycie i duszy ludzkiej



pożyczkę (każdą spłacał, zwykle terminowo). Czytając „Buty Ikar” ma się wrażenie, że Stachura był człowiekiem poszukującym, cały czas w ruchu metafizycznym. Autor przytacza słowa profesora Henryka Skolimowskiego (polskiego filozofa), który spotkał „Steda” w Stanach Zjednoczonych, wówczas to autor „Catej jaskrawości” zamiast chłonać amerykańskość, zwiedzać, poznawać ludzi, uczyć się języka, czas wolny spędzał w pokoju, czytał lub pisał. Ta książka to również opis pewnej epoki, ludzi i codziennej rzeczywistości lat powojennych. Pojawiają się w niej takie postaci jak: Jarosław Iwaszkiewicz, Konstanty Ildefons Gałczyński czy kompozytor muzyki Jerzy Satanowski.

„Buty Ikar” jeszcze bardziej utrwala obraz Stachury – człowieka zanurzonego w bycie i duszy ludzkiej. Dzięki tej pracy, niektórzy z pewnością utrwalią sobie wizerunek poety indywidualisty, który nie należał do grona pisarzy, którzy za życia budują sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu, to inni uczynili z niego legendę i pewien charakterystyczny, literacki znak tamtych czasów. Niektórzy zaś być może nabiorą do niego dystansu. Myślę jednak, że dla każdego, kto zdecyduje się założyć „Buty Ikar” i pójść ścieżką „Steda”, będzie to wędrówka niezapomniana, a być może ktoś nawet dotrze na symboliczne wrzosowisko Stachury. ■



Paweł
Chmielewski

Wit Pietrzak
Ostrożnie, poezja : szkice o współczesnej poezji anglojęzycznej
264 s. ; 21 cm
Kraków : Wydawnictwo Universitas, 2015
821.111(091)-1*20*

Zdradzieckie śliwki Prufrocka

Zacznijmy wierszem: Zaprawdę bowiem przyjdzie czas, / By zastanowić się: „Czy się ośmielę?” i „Czy się ośmielę?” / Odwrócić się, ze schodów zejść w niedzielę / Z plackiem tysiny, na czubku mej głowy – / (Powiedzą „Jakże zmarniały mu włosy!”) / Kilka linijek z „Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka” T.S. Eliota to kwintesencja autoironii i dialogowości – dwóch ważnych (choć nie jedynych) cech poezji anglojęzycznej.

POECI ANGIELSKIEGO OBSZARU językowego są – w Polsce – w dość szczęśliwej sytuacji. Obok niemieckich, francuskich i rosyjskich – najczęściej tłumaczeni, wydawani, komentowani w prasie literackiej. Punkt wyjścia, podstawy do lektury „Ostrożnie poezja” Wita Pietrzaka (pracownik Zakładu Literatury i Kultury Brytyjskiej Uniwersytetu Łódzkiego) są więc całkiem przyzwoite. Nazwiska Eliota, Williama Butlera Yeatsa czy W.H. Audena kojarzy większość czytelników. Składająca się z kilkunastu artykułów – drukowanych wcześniej m.in. w „Literaturze na Świecie”, „Przeglądzie Humanistycznym” i „Fragile” – książka może stać się spokojnie krótkim przewodnikiem po wybranych obszarach XX-wiecznej liryki języka angielskiego. W części pierwszej („Drogi modernizmu”) autor konsekwentnie buduje każdy z rozdziałów, rozpoczyna od pełnej informacji o przekładach na język polski, potem nota biograficzna (o charakterze anegdotycznym i dzięki temu znacznie ciekawsza), zarys fragmentu (problemu) w twórczości autora i wreszcie komparatystyczna analiza utworu.

Część druga („Mozaika”) ma charakter bardziej migotliwy – to zderzenia wierszy, rozbity problem i – jak przystało na zdystansowaną postawę angielską – przy tym, mimo wszystko, melancholijnie zabawna. Jak jedwabniki w poezji D.J. Enrighta i grzyby Dereka Mahona.

Bohaterowie zbioru esejów to: Eliot, Yeats, Ezra Pound, Auden, Ted Hughes, Michael Longley, J.H. Prynne, Peter Gizzi, Wallace Stevens, Seamus Heaney, Ciaran Carson, C.W. Williams, Robert Creeley, Enright, Mahon, Larkin i Tony Harrison. Ten Hughes, którego ważny tom „Listy urodzinowe” został „przykryty” plotkami o małżeństwie z Sylwią Plath i oskarżeniami o jej samobójstwo. Williams – zdradzony przez

zimne śliwki, których łąpczywe i pokątne spożywanie staje się – pośrednim – dowodem na małżeńską zdradę. Na marginesie – przy „śliwkach Williama” przypomina mi się ekspozycja z „Kontraktu rysownika” Greenawaya, gdzie dyskurs o śliwkach i śliwkowych drzewach ma właśnie, ten angielski, dwuznaczny, seksualny podtekst. Anegdotyzm biograficzny w „Ostrożnie poezja”, wprowadza czytelnika płynnie w – coraz bardziej rozbudowaną, teoretycznoliteracką – problematykę książki.

Czytając rozdział o „Wielkanocy” Yeatsa można nawet zbudować dość ciekawą teorię. Wiersz odwołujący się do masakry irlandzkich powstańców w 1916 r., zawierający paralelę między prywatnością, a narodową sprawą, którą Yeats traktuje cokolwiek sceptycznie, Pietrzak analizuje z perspektywy postkolonialnej. Na pierwszy rzut oka – zaskakujące, lecz po krótkim namyśle... Zaczynamy zazdrościć Irlandii jej poetów. Postkolonialne drzewa polskiej liryki nie wydały owoców zjadliwych, jeśli zaś jakiegokolwiek – to umówmy się – szkoda na nie czasu.

Co jeszcze charakterystycznego odnajdziemy w anglojęzycznej poezji? Ten jej, dość powszechny, panteizm, w duchu wciąż modernistycznym. Natura, zachwyt nad jej pięknem (w sposób naturalny ukierunkowany na urodę kobiety) jest tylko pretekstem, naskórkiem, otaczającym wewnętrzny krwioobieg autora.

I epickość, ta rozlewająca się wśród wersów, nie-nachalna swoboda. Zakończmy, tym razem nie Eliotem, ale fragmentem z „Rozmowy” Longleya: *Nawet ty, Odysie, nie sprawisz, że pokocham śmierć: / Wolalbym dzień w dzień czyścić rowy za głodową! Dniówkę u byle matorolnego chłopca, niż być! Wielkim panem wśród bezsilnych zmarłych.*

Zaczynamy zazdrościć Irlandii jej poetów

Emmanuella Robak

Siedem znaczeń tekstu

Symbolika i motywy poetyckie w twórczości zespołów gotyckich (i okologotyckich) prowokują tak szeroki wachlarz możliwości interpretacyjnych, iż trudno w krótkim streszczeniu przedstawić całą gamę kolorów i odcieni, które tworzą ten świat słów. W stereotypowym odbiorze pokutuje przekonanie, że dotyczą one jedynie „ciemnej” strony życia. Dekadencja, katastrofizm, ponury egzystencjalizm, są tematami, które pojawiają się oczywiście w tekstach utworów z tego nurtu, ale o śmierci, ułudzie, nicości, marności tego świata, przemijaniu, ulotności czy pustce, mówimy na wiele sposobów.



NA LIŚCIE NAJPOPULARNIEJSZYCH motywów, można bez wahania umieścić: miłość, która bywa wielowymiarowa, spełniona i niemożliwa; samotność i związane z nią cierpienie; odwagę i poświęcenie, dzięki którym człowiek może poczuć się spełniony; indywidualizm jako cechę pożądaną i unikatową w zuniforowanym świecie. Z motywami poetyckimi łączy się bardzo wyrazista symbolika – światło (w różnych odmianach metaforycznych), słońce – wskazujące drogę albo wyznaczające kres cierpienia. Wiara – zarówno we własne możliwości, dzięki którym można pokonać wszelkie przeciwności losu, jak i wiara w drugiego człowieka. Niech jednak przemówią teksty, bo tylko one potwierdzić mogą moje słowa.

MİŁOŚĆ

Bywa wieczna: *zmieniłem swoje życie,/ wyprowadziłem się tam,/ gdzie woda jest czysta,/ gdzie otacza mnie szeroka kraina,/ a powietrze jest świeże,/ ale moje uczucia są wciąż z Tobą* („Where are You” Deine Lakaïen), wymagająca: *czy jeśli usłyszysz moje wołanie/ – będziesz przy mnie?/ A jeśli zobaczysz, że*

upadam/ – będziesz przy mnie? („Return” Deine Lakaïen), ale bywa też spełnieniem: *ilekroć jestem z tobą sam na sam,/ sprawiasz, że czuję się jakbym znów był w domu,/ ilekroć jestem z tobą sam na sam,/ sprawiasz, że czuję się jakbym znów był kompletny* („Lovesong” The Cure).

Z miłością łączy się – i to dość często – motyw poświęcenia, odrzucenia własnego szczęścia, dla szczęścia innej osoby: *opuszczam dziś twoje serce,/ twoją bliskość, twoje tży,/ opuszczam wszystko co mam,/ rozkazuję twemu sercu dzisiaj żyć w wolności i kochać,/ przynoszę ci spokój, bo cię kocham!* („Ich Verlasse Heut’ dein Herz” Lacrimosa). Miłość to również rozczarowanie i cierpienie: *moje serce waży co najmniej tonę,/*

czuję jakby cała armia kopata mnie po głowie,/ może obudzę się pewnego dnia by stwierdzić,/ że całe moje życie było tylko snem./ I może będzie mi lepiej bez ciebie,/ choć zostawiłaś mnie tutaj, ze wszystkimi moimi myślami („She and Her Darkness”, Diary of Dreams).

SAMOTNOŚĆ

Przybiera wiele odcieni. Samotność może być efektem doświadczeń z przeszłości, przyczyną metamorfozy: *pozostanę nietykalny,/ głuchy i nieosiągalny niczym obłoki./ Ty mnie do tego doprowadziłaś./ Ty sprawiłaś, że musiałem/ się zmienić/ i nigdy już z tej ścieżki nie zawrócę* („Said but true”, Diorama). Samotność prowokuje, rodzi wątpliwości, czy kiedykolwiek uda się odnaleźć tę bratnią duszę. A jeśli tak, to w jednym z tekstów pada znaczące pytanie: *powiedz mi, skąd przychodzisz/ i jaka jest za to cena?* („The colors of grey”, Diary of Dreams).

CZŁOWIEK

Jednostka w (często wrogim) świecie i w tłumie, który pragnie ją wchłonąć, nie zostawiając miejsca na

indywidualizm. Świat bywa złudny, próbuje nas zmieniać, byśmy mogli przystosować się do ogółu: *masz czasami chęć bycia kimś innym, / jest to uczucie, którego nie znasz, / i nie jest to smutek, / nie jest to radość, / ale pamiętaj świat to tylko iluzja, / która próbuje cię zmienić* („Illusion” VNV Nation). Teksty zespołów z szerokiego nurtu goth, podkreślają indywidualizm, upatrując w nim najważniejszą cechę człowieczeństwa.

Czas

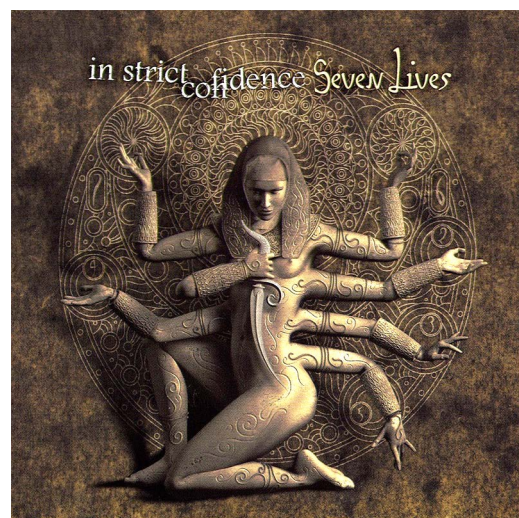
W wielu tekstach napotkamy problemy egzystencjalne. Czas symbolizujący ulotność życia: *czas jest jak pocisk, / który leci od tyłu, / szukam przed nim schronienia, / tak samo jak ty, / czas jest wodą w moich dłoniach (...) jest tylko iluzją naszych umysłów, / ja przetrwam, tak samo jak ty* („Bullet” Covenant). Czas (uptywający) jako symbol wiecznej walki z przeciwieństwami: *chodź! nie ma nocy zbyt ciemniej, / nie ma drogi zbyt długiej, / biegnij! nie ma zbyt silnego deszczu, / nie ma zbyt silnego wiatru, / módl się! żadna krew nie jest zbyt czerwona, / żadna rana zbyt głęboka (...) miej wiarę! / bo chcę żyć według mojego przeznaczenia, / uzdrów! moją tęsknotę za wiecznością* („Seven Lives”, In Strict Confidence).

Przewodnik

Teksty okotgotyckie przywołują również topos przewodnika, symbolicznej ręki, która poprowadzi nas przez ten świat pełen wątpliwości: *jak długo byłeś wolny / w tym świecie nienawiści i zawiści? / Czy to jest czarne? / A może białe? / Znajdźmy kolejny kompromis. / A nasza przyszłość wciąż stoi w miejscu / (...) gdzie jest ktoś kto mnie poprowadzi? / Wciąż czekam! / A Bóg jest po twojej stronie, / rozdziela historię od teraźniejszości, / cały czas się przygląda, / rozdziela głuchych od tych, którzy słuchają / („The sparrows and the Nightingales”, Wolfsheim).*

Czasami takim przewodnikiem będzie człowiek, czasami ujęcie przewodnika jest bardziej metaforyczne, bowiem stanowi go światło, wskazujące albo odpowiednią ścieżkę albo oznaczające kres cierpienia, wątpliwości, udręki. Motyw światła w tekstach, nie tylko poetyckich, zawsze symbolizuje – szeroko

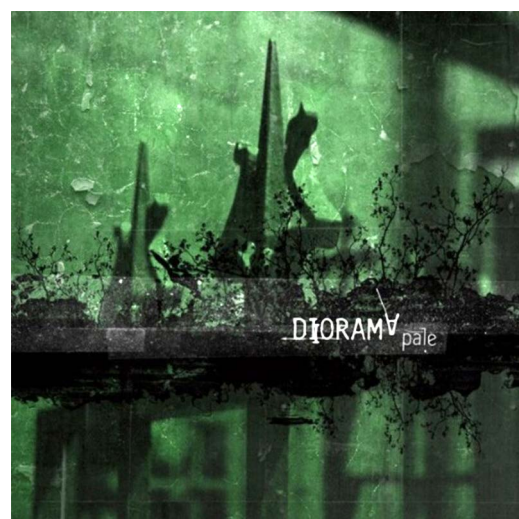
rozumianą – nadzieję. W tekstach piosenek może nim być żar ognia, lśnienie gwiazdy, świetlista tupa na niebie czy po prostu „wewnętrzny blask” drugiego człowieka, jego aura, która ma ogromną moc sprawczą: *będę czekał na ciebie / o pierwszym brasku, / będę czekał by zobaczyć twój blask, / śnię o tym, że mnie wkrótce zobaczysz, / że uklęknieś w mroku / i poprowadzisz mnie ku światłu* („Der Morgen Danach” Lacrimosa).



Imiona

Bardzo ważny aspekt, na który zwracam szczególną uwagę. W tekstach wielu zespołów omawianego nurtu pojawiają się imiona, które są jednocześnie tytułami poszczególnych utworów. Tak jest w przypadku grupy Clan of Xymox. Na kilku albumach z kobiecym imieniem w tytule, związana jest historia. „Emily” – to opowieść o czy-

związana jest historia. „Emily” – to opowieść o czystej, prawdziwej i ślepej miłości; „Michelle”, to historia kobiety, która kusila po to by ranić, „Louise”, sprawila, że serce narratora wciąż tęskni za wspólnymi chwilami, obwiniając jednocześnie kobietę o puste obietnice, które złożyła, a których



Diary of Dreams

Freak Perfume

stły swoim słodkim, delikatnym zapachem. „Hail Mary” to przekora – świętość miesza się tutaj z grzechem – grzesznik spotyka na swojej drodze św. Marię, pytając ją jednocześnie czy jest tą jedyną, która może go ocalić i czy w ogóle jest dla niego jeszcze szansa na ocalenie: *Wszystkie złe rzeczy, których dokonałem/ (...) wszystko to teraz widzisz./ Może nauczę się być czystym./ Czy to ty mnie ocalisz od wszelkich krzywd?/ Czy ty mnie poprowadzisz dzięki swojej łasce?*

MIT

Podobną strategię – do formacji Clan of Xymox – przyjął zespół Theatre Of Tragedy. Tytuły utworów z albumu „Aegis” stanowią kobiece imiona. Mamy więc Cassandré, Venus, Lorelai, Angelique czy Samanthę. Podobnie jak w przypadku CoX, każde imię to zupełnie inna opowieść, zaś imiona są znaczące. Przede

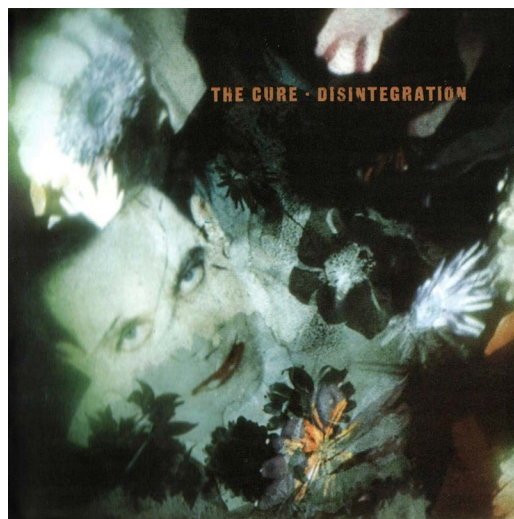
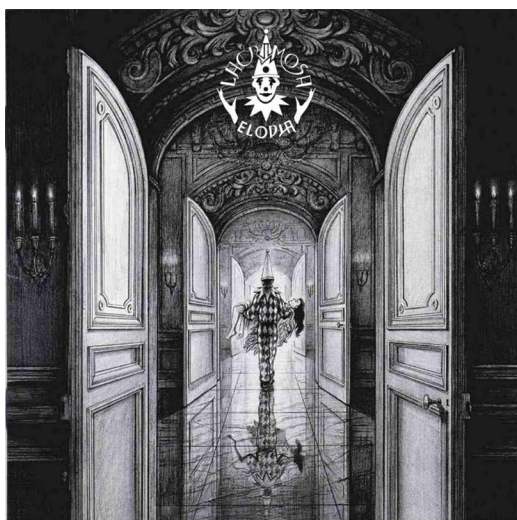
nigdy nie dotrzymała. „Jasmine and Rose” to dosyć dwuznaczna opowieść sensualna. Tytuł może być złożony z imion kobiet (Jaśmin i Różę), ale może też oznaczać nazwy roślin – które pobudzają zmy-

o śmierci, ułudzie, nicości, marności tego świata, przemijaniu, ulotności czy pustce, mówimy na wiele sposobów

wszystkim wywodzą się z mitologii. Popatrzmy na utwór „Cassandra”: *Prorokini czy naiwna?/ Jednak mówi prawdę./ „Wiem, co będzie jutro – pokonaj mnie, jeśli dasz radę!”*. Cassandra według greckiej mitologii przepowiadała przyszłość, lecz klątwa bogów sprawiła, że nikt nie wierzył w jej wizje. Bez znajomości mitologii zrozumienie tekstu „Cassandra” staje się niemożliwe.

Wczytajmy się w tekst „Siren”. *Głos twój o tak słodki,/ wstuchuję się w twą tęsknotę./ Zgubną dla mnie, zgubną dla ciebie./ „Słuchaj i usłysz”, przeczesz, tęsknie! – igrając z pokusą./* W mitologii śpiew syreni miał hipnotyzować słuchaczy, prowadząc ich na pewną śmierć. Wszyscy chyba doskonale pamiętamy mit o Odyseuszu, który pragnąc usłyszeć syreni głos, kazał wszystkim towarzyszom zatkać uszy woskiem, a samemu przywiązać się do masztu.

Ta krótka analiza tekstów z obszaru muzyki, której dość daleko do głównego nurtu, ukazuje jak poetyckie są to liryki, a jednocześnie jak bardzo – dzięki tematyce i stałym motywom – nam bliskie. Korzystając obficie z symboliki mitologicznej, sięgają po toposy chrześcijańskie. Wbrew powszechnej opinii nie są to wyłącznie teksty pesymistyczne, bez trudu można odnaleźć w nich wiele nadziei, pewności i wiary. Odpowiednio zaaranżowane i wykonane, stają się monumentalnym przeżyciem, które zmusza do myślenia i oczyszcza. ■



Postać odwrócona, postać samotna, wilgoć, woda, purpurowy fiolet nieba, postać zagubiona, postać eteryczna – scenografia romantycznego malarstwa, malarstwa chłodnej Północy. Niemieckich krajobrazów Caspara Davida Friedricha, angielskich – zapatrzonych w średniowiecze – prerafaelitów, chłodnych i drapieżnych symbolistów schyłkowego modernizmu. Scenografia dla jednego z bardziej enigmatycznych tekstów polskiej muzyki rockowej – „Violette” zespołu Closterkeller.

Paweł Chmielewski **PRZYJĘTA PRZEZ ANIĘ** Orthodox – liderkę zespołu – konwencja gotycyzmu kieruje nas ku willi Diodati nad Jeziorem Genewskim, pewnego ponurego lata 1816 roku, gdzie powstaje pomysł „Frankensteina” Mary Shelley, metafizycznym wersom jej męża Percy’ego, poematom Byrona, ku demonicznej liryce Lermontowa, opowiadaniom Edgara Allana Poe’go. To – nie zapominajmy jednak – konwencja, jak konstruktywizm i dzieła Rodzénki w „Die Mensch-Machine” grupy Kraftwerk czy kabaretowy pseudo-faszyzm zespołu Laibach. Konwencja, która jest – to oczywiście – esencją wrażliwości i filozofii wokalistki Closterkeller. Sprowadzenie „Violette” do poziomu czysto tekstowego i zamrożenie w naskórko-wo rozumianym gotycyzmie byłoby odczytaniem powierzchownym.

Ekwiwalentem dla słów, spajającej je muzyki jest w tym przypadku obraz i symbol. Usytuowanie narratorki – *Gdy klęczę pośrodku strumienia* – w przestrzeni „Fioletu”, a zarazem przestrzeni kulturowej, odsyła nas do rytuału przejścia (na którym zbudowana jest tkanka utworu), do sytuacji granicznej, mentalnego przekroczenia linii młodość-dojrzałość. Pędu życia ku śmierci, od intymnego związku ku samotności, do tej granicznej chwili, gdy następuje – postępując się językiem Nietzschego – „przewartościowanie wszelkich wartości”.

Ta samotność klęczącej wśród strumienia, to nic innego jak również rytuał samopoznania – *W życia wędrówce, na połowie czasu, / Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, / W głębi ciemnego znalazłem się lasu.* (Dante Alighieri „Boska Komedia”, I). Conradowska „smuga cienia”.

Wyobrażoną paletę „Violette” tworzą trzy barwy – czerń, biel i tytułowy fiolet. Rozszyfrujemy ostatni z nich. Jego symbolika tradycyjnie łączy się z pierwiastkiem żeńskim, skruchą, w ikonologii chrześcijańskiej z cierpieniem. Szata Chrystusa w przedstawieniach pasyjnych miała barwę fioletu, oprawca na freskach Giotto i ukryty za filarem pokutnik z Sykstyny Michała Anioła są odziani w fiolet. Na ten trop kieruje nas liderka Closterkeller budując porównanie *fiolet – zimny kolor mojej krwi*. Barwa odsy-

ła nas również do ulubionej „gwiazdy” romantyków – Księżycy. W tej księżycowej poświacie art gotyku jest woda, jest biel i czerń, krew, jest oczyszczenie. Ten powtórny chrzest, metamorfoza, rozgrywa się jednakże w barwach samotności, fiolet literacki nie oznacza bowiem tylko pokory i skruchy. Jest samotnością jak u Aragona (*Wszystkie rozgoryczenia / Fioletowe piętna bezsenności*) lub zwiastunem zagłady Borowskiego (*trupie nieba fiolet*).

Fiolet (obok lub wraz z mieszaniną błękitu) był najcenniejszym i paradoksalnie najbardziej „podejrzanym” kolorem w paletce średniowiecznych mistrzów. Powstawał bowiem – jak podają badacze pigmentu van Eycków – z azurytu i laki, lecz z dodatkiem lapis-lazu. Tak kamień piekielny rodził barwy raju i męki świętych. Panteistyczny – znów doceniony dopiero przez późnych romantyków, a skreślony chociażby przez Schopenhauera i skromne, samotne fioletowo-białe (lub trupio-sine) malarstwo Puvisa de Chavannesy – obraz wykreślony przez Orthodox rozrzuca w wielu kierunkach (jak kręgi na wodzie), ewangeliczne i ezoteryczne tropy – kamień przeistacza się w chleb. Fraza: *Na każdym płatkach jeden grzech / Czarnych kwiatów* – na podobieństwo symbolicznych, martwych natur holenderskich mistrzów przywołuje rosę na martwych kwiatach – znak nieuchronnej śmierci.

Fascynująca pozostaje w „Violette” symbolika lustra – ukryta w metaforycznym obrazie (*Omywana zimną wodą jak szkło / Ja gładsza co dzień, czystsza co noc*), bezpośrednia (*Białe kwiaty w lustrach odbijają*) czy skojarzona z kulturowym toposem kryształatu. Ponownie stajemy wobec literacko-obrazowej opozycji kreślonej przez autorkę – bieli i czerni, czystości i grzechu. Nie inaczej przecież, lecz po kryształowych (lustrzanych) schodach, wśród kwiatów, wstępując zbawieni do raju w alegorycznym „Sądzie ostatecznym” Hansa Memlinga. Bo lustro jest sprawdzianem, źródłem samopoznania, ale też bramą do pozamystowego świata.

Pragnienie fioletu (jest) tu marzeniem o powrocie do wieku niewinności. Bo czyż nie fiołki zwiędły szalonej Ofelii? ■

Pragnienie fioletu (jest) tu marzeniem o powrocie do wieku niewinności. Bo czyż nie fiołki zwiędły szalonej Ofelii?

„Smuga cienia” Anji Orthodox

Wbrew konserwatywnej konfesyjności

Michał
Siedlecki



„Szczęśliwe winy teolingwizmu. Polska poezja po roku 1968 w perspektywie postsekularnej” (2016) autorstwa Piotra Bogaleckiego, to jedna z ciekawszych rodzimych publikacji filologicznych tego roku podejmująca wnikliwie trop poetyckich poszukiwań duchowych we współczesnej polskiej liryce. Liryce reprezentowanej przez pisarzy odrzucających jawnie wszelkie dogmaty spod znaku konserwatywnej konfesyjności czy niepopartej racjonalnym osądem epifanii.

Książka „Szczęśliwe winy teolingwizmu...” jest już drugą pracą badawczą Bogaleckiego – literaturoznawcy, a także adiunkta w Katedrze Porównawczej Uniwersytetu Śląskiego. Wcześniej opublikował on bowiem bardzo ciekawe studium zatytułowane „Niedorozumowy. Kategoria niezrozumiałości w poezji Krystyny Miłobędzkiej” (2011), które otrzymało zresztą nagrodę za najlepszą pracę doktorską w Polsce z zakresu nauk o kulturze. To też autor blisko trzydziestu artykułów naukowych oraz współredaktor czterech książek, w tym: (wraz z Aliną Mitek-Dziembą i Tadeuszem Sławkiem) „Więzi wspólnoty. Literatura – religia – komparatystyka” (2013).

Najnowsze studium Bogaleckiego składa się z „Wprowadzenia”, dwóch bardzo rozbudowanych rozdziałów oraz zamykającego wszystko „Aneksu”. Książka wzbogacona została również o: odautorskie „Podziękowania”, szczegółową „Bibliografię”, „Notę bibliograficzną”, anglojęzyczny „Abstract”, „Indeks nazwisk”, jak również „Wykaz skrótów używanych w publikacji”. Wszystkie teksty w ponad czterystustronicowej monografii Bogaleckiego były już – poza jej wstępem – wcześniej publikowane, choć – jak podaje sam badacz – zostały one jeszcze raz przez niego przejrane, uaktualnione, a nierzadko też i rozszerzone.

Bogalecki – idąc tu śladem własnych dociekań z zakresu myśli postsekularnej oraz teolingwizmu – poddaje szczegółowej interpretacji poezję lingwistyczną takich rodzimych twórców, jak: Witold Wirpsza, Tymoteusz Karpowicz, Krystyna Miłobędzka, Stanisław Barańczak, Tadeusz Różewicz, Bohdan Zadura, Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Justyna Bargielska oraz Joanna Mueller.

W swoje egzegezie zwraca się on głównie – co już na samym początku swej rozprawy dobitnie podkreśla – ku: problematyce etycznej i wspólnotowej, derridowskiej dekonstrukcji, filozofii Jürgena Habermasa, a także ponowoczesnej reinterpretacji zagadnień teologicznych. U badanych przez siebie pisarzy, interesuje go między innymi: (...) *znaczenie lingwistycznej świadomości i zastosowanych lingwistycznych rozwiązań dla przebiegu oraz jakości prowadzonych w ich tekstach teologiczno-religijnych poszukiwań.*

Monografia „Szczęśliwe winy teolingwizmu...” wnosi – według Andrzeja Skrendo – bardzo (...) *wiele świeżości do szacownej tradycji badania sacrum i religijności w literaturze polskiej.* To wyśmienita książka, bez której nie sposób zrozumieć zawitości współczesnej rodzimej poezji. ■

a ja czuję pustkę i złość
i znów szukam wiersza
tego jednego jedyne go który mnie ocali

Dominik Borowski Teraz i na zawsze

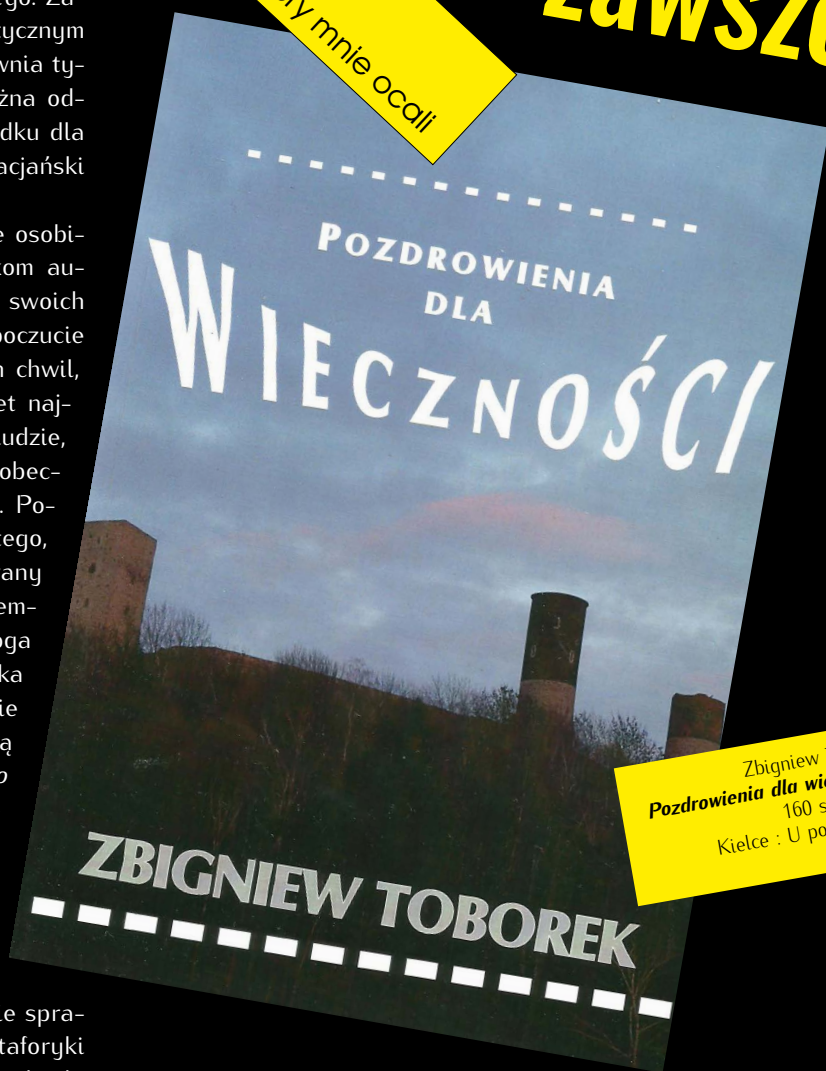
PODMIOT LIRYCZNY wciąż dąży do napisania wiersza, który go zadowoli. I właśnie wszystkie te poetyckie próby tworzą jego najnowszy tomik.

Choć w całym zbiorze znajdziemy około dwustu wierszy, można w nich odnaleźć wiele wspólnego. Zarówno w doborze problematyki, jak i w artystycznym ujęciu. Łączy je również wspólny cel, który ujawnia tytuł tomiku. „Pozdrowienia dla wieczności” można odbierać jako pozostawienie intelektualnego spadku dla przyszłych pokoleń, co od razu przypomina horacjański pomnik. Co zatem nam przekazuje?

Wiersze poety stanowią odzwierciedlenie osobistych przeżyć i refleksji, co nadaje jego lirykom autentyzmu. Podmiot nie wstydzi mówić się o swoich życiowych doświadczeniach, jak choroba czy poczucie zbliżającej się śmierci. Mimo jednak przykrych chwil, potrafi cieszyć się światem i dostrzegać nawet najmniejsze jego walory. Ważni są dla niego ludzie, z którymi może porozmawiać i cieszyć się z ich obecności, szczególnie miejsce ma tutaj żona i syn. Poetycka refleksja nie ogranicza się jedynie do tego, co widzialne. W wielu wierszach przywoływany jest Bóg, który towarzyszy „ja” lirycznemu w ziemskiej wędrówce. Jego wizerunek przypomina Boga nowotestamentowego, który jest dla człowieka miłosierdziem. Boska opatrność, bliscy ludzie i umiejętność radowania się życiem pomagają poecie oswoić się ze śmiercią: *Spokojnie! to tylko koniec życia / zbliża się wielkimi krokami* (s. 134). W ten sposób mówi wyraźnie czytelnikowi, że mimo chwil słabości można przezwyciężyć najtrudniejsze chwile.

W tomiku Toborka ważny jest język, jakim mówi do czytelników podmiot liryczny. Widać, że formułowanie własnych myśli nie sprawia mu problemu. Unika tutaj przesadnej metaforyki i nadmiernego upiększania poetyckich zdań, dzięki czemu liryczna wypowiedź staje prosta i jasna. Z jednej strony delikatny język powoduje, że uwaga odbiorcy skupia się na treści, jaką chce przekazać podmiot. Z drugiej – rozszerza grono czytelników, bo nie odstrasza niezrozumiałością.

„Pozdrowienia dla wieczności” to poetycki zapis zmagania się z codziennym życiem i jego trudnościami, którym można się przeciwstawić. Wpisany tutaj optymizm przechodzi na czytelnika, który ma szansę uczestniczenia w lirycznej terapii. Lektura skłania też do refleksji nad tym, co ważne w życiu każdego z nas. ■



Zbigniew Toborek
Pozdrowienia dla wieczności
160 s. ; 19 cm
Kielce : U poety, 2016
821.162.1-1

„Pozdrowienia dla wieczności” Zbigniewa Toborka to dość pokaźny tomik wierszy, który może przypominać antologię twórczości poety. Nie jest to jednak żadne podsumowanie poetyckiej działalności ani wybór najlepszych utworów. Poeta sam zdradza: *Napisałem tyle wierszy/ że powinienem być szczęśliwy/ lub przynajmniej zadowolony/ a ja czuję pustkę i złość/ i znów szukam wiersza/ tego jednego jedyne go który mnie ocali/ na chwilę na wieczność.*

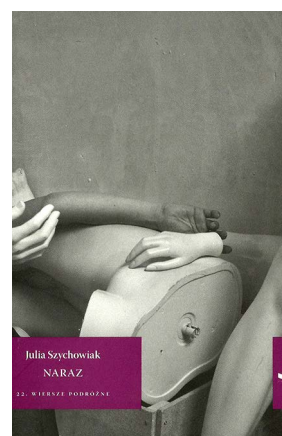
Spotkanie Euterpe z Kalliope

Michał Siedlecki

W tym roku nakładem Biura Literackiego ukazały się między innymi trzy tomy liryków z serii „22. Wiersze podrózne” znanych polskich pisarzy: „Naraz” (2016) Julii Szychowiak, „Rozmowa trwa dalej” (2016) Romana Honeta, jak również „Seria w ciemność” (2016) Jacka Dehnela. Wydane w formie kieszonkowej, skrywają w swoim wnętrzu intrygującą treść, stymulującą czytelnika do nieustannych rozważań z pogranicza literatury, filozofii, mitoznawstwa oraz historii.

beztroskie maskuje grozę, czyhającą często za oknami naszych domów. Natomiast w kolejnym wierszu artystki „Ścisłe tajne” w dziecięcy świat wkrada się jawnie widmo wojny. Teksty „[Trening mięśni ducha]” oraz „[Widziałam, jak leżymy ogromni nad dachami]” dotyczą zaś kwestii ludzkiej jaźni, problematyki przemijania, jak też pojęcia metafizyki. W zamykającym tom Szychowiak utworze „Łóżko, w którym leżę, puste” spotykamy się tymczasem ponownie ze zjawiskiem spotecznego wyobcowania.

Tom „Naraz” Szychowiak wydaje się więc wysublimowaną formą literackiej wędrówki artystki do



Stronie Śląskie : Wrocław : Biuro Literackie, 2016
821.162.1-1

Julia Szychowiak
Naraz

31 s. : 17 cm

ludzka jaźń,
problematyka
przemijania, pojęcie
metafizyki

magicznej krainy „najprostszych” słów utkanych z nici samotności oraz melancholii, dających jednak nadzieję na poetycką konsolację. To zbiór, wobec którego trudno przejść obojętnie.

ROZMOWA NIEDOKOŃCZONA

W otwierającym nowy tom Honeta wierszu „Echa jednego głosu” zawiera się w pewnym sensie symboliczny klucz do zrozumienia jego kolejnych wierszy. Tytułowe echa pulsują tu, aż od wciąż powracających doświadczeń sytuacji granicznych, wpisanych w zbiorowy los współczesnego człowieka, którego upływające w monotonię kolejne tygodnie życia (...) *nasycają krwiobieg spienioną kością* (...). W podobnej tonacji utrzymany zresztą został kolejny liryk Honeta zatytułowany „Zawsze na północ”, w treści którego specjalnej inwokacji doczekało się nawet człowiecze cierpienie: (...) *bólu, twój taniec jest rzeźbą*.

Natomiast w wierszu „Z podróży pośmiertnej” poeta niczym Orfeusz wyrusza do Hadesu na spotkanie Eurydyki, choć – w przeciwieństwie do syna boga Apolla – od początku zdaje się przeczuwać, że jej śmierć jest nieuchronna. Liryk „Żeby wrzał” różni się

BIURO LITERACKIE WPISUJE SIĘ swoją tegoroczną serią „22. Wiersze podrózne” w bardzo dobrze prowadzoną politykę wydawniczą, promującą już od przeszło dwudziestu lat w Polsce i poza jej granicami wartościową literaturę współczesną pisarzy, wywodzących się głównie z kręgu kultury europejskiej, jak również dzieła tak zwanych „klasyków”. Pertą w koronie wrocławskiego wydawnictwa pozostaje jednak od zawsze rodzima poezja. Potwierdza to zresztą prezentowana tutaj seria, którą łączy – poza tytułowymi dwudziestoma dwoma wierszami w każdym z jej tomów – wysoki poziom utworów poetyckich podejmujących szeroko pojęty literacki motyw ludzkiej wędrówki.

SAMOTNOŚĆ

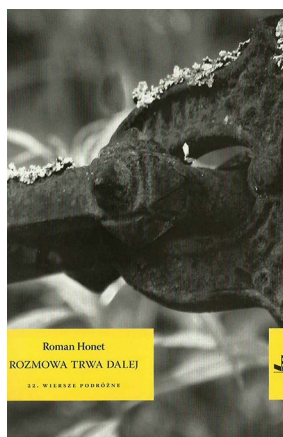
Zbiór „Naraz” Szychowiak trudno poddać jednoznacznej interpretacji. To bowiem tom, który warto czytać wielokrotnie, by odstaniać jego kolejne warstwy znaczeniowe. Już w pierwszym wierszu poetki zatytułowanym „Ślad” alegoryczny motyw jaskini platońskiej służy jej przede wszystkim do ukazania problemu ludzkiej alienacji: *Dzień do wieczora przechadzał się po murze,/(...) Jestem widoczna, póki sen mną kaszle, do póki cień wsparty jest ciałem*. To bardzo posępny liryk.

Następny wiersz Szychowiak „Prawie słyszę” również spowija bezgraniczny mrok: *Słyszę: szczęście. Było przed chwilą, / jak krzesło w rzece*. Finalny spokój jest w nim tylko pozorny. Wyraźne niedopowiedzenia poetki zwiastują tu burzę emocji, przypominającą dramat nieszczęśliwej miłości. Z kolei w liryku „Dziecko ślizga się po szerokich plecach rzeki” to, co z pozoru

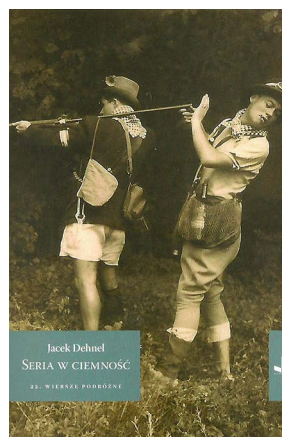
Pertą w koronie wrocławskiego wydawnictwa pozostaje jednak od zawsze rodzima poezja.

zaś zasadniczo od poprzedniego, bo wyraża otwartą krytykę współczesnego chrześcijaństwa. W melancholijnych i na poły okultystycznych utworach „Człowiek, który wędrował przez węża” oraz „Rodzaje nocnej alchemii” dominuje za to tematyka ludzkiej przemocy, jak również przemożnego wątplenia w sens i porządek współczesnego świata.

Zbiór „Rozmowa trwa dalej” Honeta warto w pewnym sensie traktować jako poetycką spowiedź pisarza z jego dotychczasowego życia. Artysta niczego tutaj jednak otwarcie nie odstawia. Wydaje się wręcz, że celowo maskuje własne doświadczenia w siatce



Roman Honet
Rozmowa trwa dalej
41 s. ; 17 cm
Stronie Śląskie ; Wrocław : Buro Literackie, 2016
821.162.1-1



Jacek Dehnel
Seria w ciemność
40v s. ; 17 cm
Stronie Śląskie ; Wrocław : Buro Literackie, 2016
821.162.1-1



enigmatycznych słów i znaczeń, tak żeby przypominały one do złudzenia osobom postronnym fantomy bliżej nieokreślonej rzeczywistości. To liryczny dyskurs poety z samym sobą, odyseja, której kres warunkuje jedynie dogłębne poznanie samego siebie. Lektura obowiązkowa dla wszystkich.

MROK

Tegoroczny tom Dehnela rozpoczyna wiersz pod z pozoru tylko enigmatycznym tytułem „8,5x13, '84”. Okazuje się bowiem już po jego pierwszej lekturze, że mamy w nim do czynienia z poetyckim opisem zdjęcia z czasów młodości poety. Artysta stara się tu w gęstwie dręczących go pytań natury egzystencjalnej ocalić od zapomnienia miniony czas własnego dzieciństwa, znaczonego okresem względnej bez troski: *Dokąd idziesz, chłopczyku, / (...) Wszędzie, gdzie pójdziesz, będzie gorzej, zatrzymaj się, uśmiechnij*. Odnajdziemy więc w owym liryku pewne literackie aluzje pisarza do „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta. To intrygujący w swojej semantycznej strukturze wiersz Dehnela.

Kolejny wiersz poety zatytułowany „Szczęście” pozostaje w swojej warstwie językowej – podobnie jak

większość utworów z tomu „Seria w ciemność” – przykładem misternego mariażu liryki z prozą. To tekst, w którym bezpośrednie nawiązania Dehnela do wiersza „Lacrimae rerum” autorstwa brytyjskiej pisarki Michèle Brigitte Roberts o jej umierającym ojcu, nabierają cech uniwersalnego moralitetu, traktującego o ludzkim życiu, śmierci i dozgonnej miłości dwojga kochanków. Motyw więzi emocjonalnej dwóch osób odnajdziemy też w liryku „Odwilż”. Artysta tak oto referuje w nim jej trwałość: *Związek: to, co trzyma razem dwa atomy wodoru, jeden atom tlenu*. Natomiast tekst „Miasta dalekie” opowiada o miłości oraz ludzkim dojrzewaniu.

Wiersze „Przyjęcie”, jak też „Big Splash” podnoszą zaś kwestię kruchości wszelkiego bytu.

Poetycką książkę Dehnela można w pewnym sensie interpretować jako jego artystyczną próbę wydobywania swych wierszy z mroków codzienności, czyhających na każdym kroku przed niepodążającym utartymi szlakami twórcą. To metafizyczny proces, wiodący tylko nielicznych pisarzy do jutrzeńki literackiego spełnienia. Wydaje się jednak, że Dehnel jest tu na dobrej drodze, z której, o ile drastycznie nie zawróci, może kiedyś dojść do wrót poetyckiego Olimpu.

POETYCKIE PEREGRYNACJE

Zaprezentowane tu trzy tomy wierszy autorstwa Honeta, Szychowiak oraz Dehnela warto traktować jako poetycki trójętós artystów na temat zmiennych kolei ludzkiego losu ukazanych przez pryzmat alegorycznego wątku podróży. W trakcie swoich literackich peregrynacji nawiązują w nich oni symbolicznie do dwóch antycznych tradycji uosabianych przez mityczne greckie muzy: Euterpe oraz Kalliope. To bowiem poetyckie teksty, w których liryka spotyka się subtelnie z prozą, a potencjalny czytelnik z bardzo dobrą twórczością. ■

Kijów w „dymkach”



Komiksowe adaptacje poezji, nazywane niekiedy poemiksami, zawsze wydawały mi się nieco ryzykownym przedsięwzięciem. Wszak istotą komiksu – zgodnie z jego najpopularniejszymi definicjami – jest sekwencyjność, zaś utwory poetyckie są jej bardzo często pozbawione. Z tej perspektywy połączenie obu gatunków musi budzić podejrliwość.

Artur Wabik

poemiksy zawsze wydawały mi się nieco ryzykownym przedsięwzięciem

„KOMIKS WIERSZEM PO UKRAIŃSKU” to antologia zbierająca szesnaście finałowych prac ubiegłorocznej edycji konkursu „Komiks Wierszem”, organizowanego od trzech lat przez wrocławskie „Biuro Literackie”. Inicjatywa dobrze wpisuje się w ofertę wydawnictwa, którego najbardziej prestiżową serią są „Antologie poetyckie”, prezentujące autorskie wybory wierszy poetów z różnych krajów. Jak piszą organizatorzy: *Dwie poprzednie edycje konkursu „Komiks wierszem” były dla nas nie lada zaskoczeniem – zadziwiająca była duża ilość i wysoka jakość zgłoszonych prac.* Stąd jak sądzę decyzja o kolejnej edycji, tym razem skupionej na poezji ukraińskiej.

Przewodniczący jury konkursu „Komiks wierszem”, Marcin Sendecki, zaproponował uczestnikom do wyboru niemal sto utworów ukraińskich poetów. Na konkurs wpłynęło kilkadziesiąt prac z Polski i Ukrainy. Jury: Sebastian Frąckiewicz, Krzysztof Ostrowski i Marcin Sendecki przyznało trzy równorzędne pierwsze nagrody: dla Edyty Bystroń za komiksową adaptację wiersza „Bożonarodzeniowe naśladowanie Żadana” Jurija Izdryka, Uladzimira Pazniaka – „Kijów w maju” Dmytra Pawłyteczki oraz Agnieszki Sozańskiej – „Marzec” Marjany Sawki. Wyróżniono Annę Krztoń za komiks według wiersza „Chłopiec z jaskini teszyk-tasz” Jewhena Brustynowskiego.

Komiks wierszem po ukraińsku, Jewhen Brustynowski
i 27 pozostałych autorów
75 s. ; 30 cm
Wrocław : Biuro Literackie, 2015
821.161.2-1:821.161.2-91

Przyjrzyjmy się nagrodzonym komiksom: wszystkie trzy prezentują przyzwoity poziom, jednak żaden z nich do końca mnie nie przekonuje. W pracy Bystroń kompozycja plansz i pojedynczych kadrów jest bardzo sprawna. To także jedyny wśród nagrodzonych, stricte sekwencyjny komiks (przy czym trzeba przyznać, że sprzyjał temu klarowny tekst Izdryka). Nie trafia do mnie jednak kreska autorki i pomysł z selektywnym nakładaniem kolorów, wskutek czego komiks wydaje się niedokończony.

Charakterystyczne dla ukraińskiego komiksu offowego ilustracje Pazniaka prezentują się atrakcyjnie, ale ze względu na dużą ilość detali, sfocczonych na małej przestrzeni, nadają się w moim odczuciu bardziej na plakaty. Zapewne lepiej prezentowały się na wystawie pokonkursowej, niż w samym albumie. Warto przy tym nadmienić, że poemiks zwany jest czasem małym plakatem, ponieważ korzysta ze sposobów rozmieszczania tekstu wypracowanego przez plakat. Niestety, tego akurat w komiksie Pazniaka nie widać.

Z kolei ilustracje Sozańskiej przywodzą na myśl książkę dziecięcą i tam, jak sądzę, sprawdziłyby się najlepiej. Zamknięcie fragmentów tekstu w polach wystylizowanych na komiksowe dymki, w sytuacji, kiedy są to kwestie z offu, jest zupełnie niepotrzebnym zabiegiem. Sozańska, która jak sama przyznaje w nocie biograficznej dopiero *niedawno zainteresowała się komiksem*, musi chyba jeszcze trochę oswoić się z tym medium.

Na tym tle bardzo dobrze wypada wyróżniony przez jury, krótki, bo zaledwie dwuplanszowy komiks Krztoń. Cała adaptacja to w zasadzie tylko dwie pełnostronicowe ilustracje, będące w ścisłej relacji kompozycyjnej. Kreską i barwą autorka wpisuje się w bieżące trendy wydawnicze, nie odstając od debiutantów z rynku anglosaskiego, jak np. Nick Edwards (*„Dinopopulus”*, Blank Slate Books 2012), czy Donya Todd (*„Death and the Girls”*, Blank Slate Books 2013).

W postwii do albumu Sebastian Frąckiewicz pisze, że podczas dwóch poprzednich edycji konkursu wytworzyło się u uczestników dziwne przekonanie o tym, jak powinien wyglądać dobry komiks wierszem. „Dziwne” rozumiem jako „nie do końca trafne”. Nie sposób nie zgodzić się z Frąckiewiczem, że *większość prac jest do siebie zbliżona sposobem narracji i budowania napięcia między słowem a obrazem*. Poza tym publikacja „Biura Literackiego” przypomina wszystkie inne antologie konkursowe, do których przez lata przyzwyczaili nas wydawcy, z organizatorami Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi na czele.

Ŕ-Ů C ##### ##” +G.+”+W>B4Gg [mke [db€

Emmanuela Robak *Ujmijmy pisanie/odczytywanie jako proces komunikacyjny, w którym pisarz/czytelnik komunikują się z samym sobą, a dopiero później – z innymi. Zamiast w wierszu ciało – zobaczmy w nim automat. Zamiast zgadzać się na język, spróbujemy się na niego nie zgadzać. Zamiast opisywać – zmieniać – ten fragment manifestu cyberpoetów ukazuje w skrócie ideę cyberpoezji, oryginalnego sposobu wyrażania siebie, za pomocą nowych mediów.*

INTERNET, DZIĘKI NIEOGRANICZONYM (w zasadzie) możliwościom stał się doskonałym narzędziem dla poetów. Cyberpoezja ma coraz większą grupę zwolenników, a sama forma tego „typu” poezji przybiera coraz to nowe oblicza. W Internecie można spotkać wiersze hipertekstowe, cybertekstowe, fraktalne czy holograficzne. Wykorzystanie nowych mediów i ich możliwości do tworzenia poezji jest interesującym sposobem na pozyskanie uwagi odbiorców, którzy szukają awangardowych i zupełnie nowych rozwiązań. Dzięki nim poezja zyskuje bardzo ważne cechy – staje się ulotna, czasowa, zmienna, chwilowa, multisensowna, a przede wszystkim eksperymentalna. To trochę taki futurizm w nowoczesnym wydaniu. Dawniej „Nuż w bżuhu” teraz:

! ~ ~. m *

czy znów doświadczenie rozs**** wybrzeże?
(fr. Łukasz Podgórn, „błękitny streaming”)

W Internecie można znaleźć kilka ciekawych publikacji dotyczących zagadnienia cyberpoezji, które pokazują ten fenomen z perspektywy teoretycznej. Jedną z nich jest „Polish cybernetic poetry” pod redakcją Urszuli Pawlickiej – publikacja anglojęzyczna, przygotowana w 2013 r. przez Korporację Ha!art i dostępna (na zasadzie wolnej licencji) w najpopularniejszych formatach: PDF, mobi, epub.

Czytelnik dostaje tutaj interesujące i intrygujące źródło, które zawiera kompendium informacji z dziedziny cyberpoezji: dziesięć tekstów teoretycznych, z których można dowiedzieć się czym jest cyberpoezja, jaka jest historia tego gatunku w Polsce, kto był

prekursorem cyberpoetyki w naszym kraju, co definiuje cyber-wiersz i jakie są jego wyznaczniki. Publikacja zawiera także dwa manifesty, w których dokładnie przedstawiono sens i ideę cyberpoezji. Na samym końcu, w formie aneksu, przedstawiono biografie autorów. Zapoznanie się z tym wydawnictwem pomaga szerzej zrozumieć czym jest cyberpoezja, bo cyberpoezja to nie tylko poezja. To swego rodzaju filozofia, ukazująca ulotność chwili. To nie tylko słowo, nie tylko znak, ale również grafika czy link w wersie, który przenosi czytelnika do innej domeny zawierającej np. zakończenie wiersza.

W Polsce od 2005 r. do dziś grupa literacka Perfokarta sprawnie promuje ten rodzaj poezji. Założycielami formacji byli Roman Bromboszcz i Tomasz Misiak, którzy jako pierwsi wpadli na pomysł promocji zupełnie nowego stylu poetyckiego, wykorzystującego nowe media. Pomysł ten okazał się na tyle trafny i interesujący, iż w ciągu paru lat grupa nie tylko rozwinęła swoją działalność, ale przede wszystkim przyciągnęła masę odbiorców. I być może będzie tak, że cyberpoezja zawojuje cyberprzestrzeń w takim stopniu, w jakim emotikony, ASCII, emoji, anagramy, akronimy czy nazwy numeryczne opanowały komunikację internetową. A może już tak jest. ■



Polish cybernetic poetry. Refresh,
redakcja Urszula Pawlicka
139 s.; 37 cm
Kraków : Korporacja Ha!art, 2013
821.162.1(091)-1

existential dil3mma and
undigested contemporaneity;
(lp/fežšA3f.Cqg~N (lp/
fežšA3f.Cqg~Nsx#GÜ«€4écXÓksw,Ůs#ý>7±úŮ: ~©Ůä, #Ăšx#—

A gdyby tak... móc pochylić się bez pośpiechu,
po kolei nad każdym twórczym zjawiskiem?



Perta w koronie

Zwiedzających galerię w kieleckim pałacu biskupim – Muzeum Narodowe – zwykle oprowadza cisza, poganiana niewerbalnie mijającym czasem. W mnogości nazwisk i barw, na ścianach trudno w pośpiechu wybrać jeden klejnot, gdy wszystkie są tak piękne. A gdyby tak... móc pochylić się bez pośpiechu, po kolei nad każdym twórczym zjawiskiem?

Agate Gold

ZANURZYĆ SIĘ W PRZESTRZEŃ i spróbować uchwycić myśl, poetycką symbolikę, towarzysząc malującemu w tamtym czasie autorowi, porzucając na chwilę całą merytoryczną wiedzę na temat werniksów, stylów i procesów twórczych. Jakie emocje, wydarzenia historyczne czy też ludowe legendy wywołały na ułamek sekundy to natchnienie, z którego przyjemność obcowania z obrazem czerpiemy wszyscy po dziś dzień?

„Skarby Sezamu” (1897) Stanisława Wyspiańskiego to wielkoformatowa kompozycja wykonana techniką pastelu, mroczna i tajemnicza, ukazująca leśny macecznik, do którego dotarł mały wędrowiec. Kojarzona z nocą świętojańską, wyprawą w głąb puszczy, przeistoczyła się w akt wtajemniczenia misterium natury. Swą wizję Wyspiański rozwinął w poemacie „Legenda” (1897) osnutym na kanwie podania o królu Polan, Kraku i jego walecznej córce Wandzie.

Sam autor przywiązywał do tego dzieła wielką wagę. W jednym z wielu listów, jakie wysyłał często do swojego przyjaciela Lucjana Rydla, tak pisał o pracy nad nim: *Maluję obecnie obraz, a raczej jak do tej pory, przygotowuję go pastelami, zanim wykonam. Jestem kontent i studiów, studiów bez liku w niego włożę i dam rzecz nową, o jakiej się wielu panom śniło, a żaden nie zrobił – drzew, konarów, gałęzi wykrotów, korzeni...* (J. Kaczmarczyk „Skarby Sezamu”, www.mnki.pl). Noc świętojańska, zwana też Wigilią Św. Jana, to słowiańskie święto związane z letnim przesileniem Słońca, obchodzone w czasie najkrótszej nocy w roku, około 21–22 czerwca. To święto ognia, wody, słońca i księżyca, urodzaju, płodności, radości i miłości, powszechnie obchodzone na obszarach zamieszkiwanych przez ludy słowiańskie, ale również w podobnym charakterze na obszarach bałtyckich, germańskich i celtyckich, a także przez część narodów ugrofińskich.

Na obrazie, wśród gałęzi i korzeni dostrzegamy zaklęte w baśniowych postaciach archetypy postaci. Widzimy postać brodatego starca, nagie nimfy i w centralnej części nagą kobietę symbolizującą Matkę Ziemię (J. Kaczmarczyk, tamże). Ta wyobrażona przez artystę puszcza, to w istocie rzeczy poetycka metafora archaicznego królestwa (...), gdzie spoczywają na mchach uśpione nimfy, Rusalki, Wiślanek i Rudawianki (...). Prześwitujący spod kłębowiska korzeni błękit symbolizuje wiślaną toń (tamże).

Brodaty starzec w ikonografii zwyczajowo przedstawiany jest w wielu ujęciach i postaciach. Zwykle symbol ten rozumiemy jako uosobienie Proroka, Mędrca lub Starego Czasu. Przewodzący jest na obrazach jako pustelnik, odziany w płaszcz ze skóry wielbłądziej, przepasany rzemieniem, z jasnymi, długimi, kędzierzawymi włosami i brodą – jakie widzimy u Wyspiańskiego. W wielu przypadkach symbolizuje też nieśmiertelność i nieunikniony upływ czasu. Pojawienie się wizerunku starca, zwykle służy za bodziec do rozważań nad sobą. Przesłanie zdaje się przypominać że upływ czasu na ziemi jest nieunikniony.

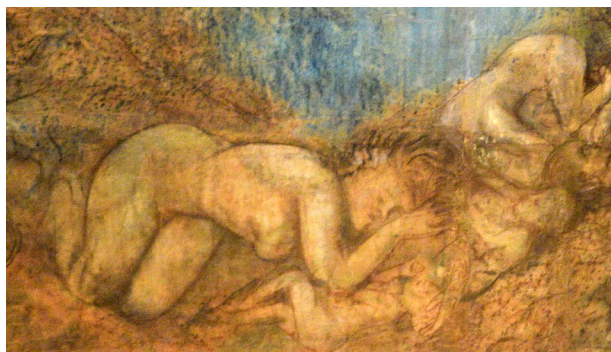
Też tę potwierdza widniejący na obrazie „Skarby Sezamu” symbol małego chłopca – w opozycji do Starca – młode oblicze dziecka zdaje się nam wprost przypominać o sile młodości, cudzie darowanego nam życia jak również nieuchronnej transformacji z małego dziecka w starego mędrca – a cała ta feeria doświadczeń i doznań, rozgrywa się nie gdzie indziej, a na kartach naszego osobistego losu.

Od wieków też młodziemiec był symbolem Nowego Roku, nowej siły, płodności i urodzaju.

Nimfy są zwykle istotami dobrymi, żyjącymi w towarzystwie Satyra. W mitologii nimfy są również jedynymi strażniczkami wiecznego źródła życia i tylko one potrafią je otworzyć.

Leśne nimfy są personifikacją przyrody. Posiadają one moce, dzięki którym mogą leczyć drzewa, rozwijając pąki kwiatów, wskazywać wędrowcom właściwy kierunek na rozstaju leśnych dróg. Uważano je jednak za bóstwa niższego rzędu, robotnice, do których zwracano się raczej z prośbami o pomoc. Nie były obiektem szczególnego matriarchalnego kultu. Zazwyczaj były w służbie u wielkich bogiń, najczęściej Artemidy, niekiedy bogów, jak Hermes czy Dionizos. Nimfy można odczytywać jako siły sprawcze, wykonawcze, wszechpotężnej natury.

Ludzka psychologia stanowiła kwintesencję rysowanych przez Wyspiańskiego obrazów, portretów.



Wymowa oczu, pochylenie głowy, typowe gesty – to cechy konstruktywne tych wizerunków, w których atrybuty – symbolicznie – określają profesję, społeczny status czy osobistą pasję. Ekspresję wypowiedzi autora współtworzył ton barw, ich natężenie i zestrój. Wiele to mówi o samym Wyspiańskim, jego psychice i sposobie postrzegania świata.

Gdzie więc kończy się, a gdzie zaczyna i czy w ogóle istnieje granica interpretacji sztuki? Czy przedstawiony obraz, ma wzorem tablicy informacyjnej, podawać współrzędne, nakreślać ujęte ściśle w ramy wytyczne? Każdy z nas bowiem odnajduje w sobie odrobinę z lekkości nimfy, bezradność małego chłopca czy mądrości starca.

Czy istnieje ponadczasowy morał, zawarty w akcie twórczym, który można zdefiniować jednym zdaniem?

Zdawałoby się, że „Skarby Sezamu” jak sam tytuł podpowiada, to swoisty drogowskaz do tajemnicy, to mapa, którą aktywuje w sobie obserwator zatrzymujący się „po drugiej stronie płótna”. Tak spacerując na wystawie prac, w ciszy, jak na spokojnych drogach leśnych, wędrowni myślą autora, obcując z symbolem, poszukujemy siebie, swoich emocji, wzruszeń, osobistej wrażliwości. Rozwijamy się wewnętrznie i niezauważalnie ewoluujemy, na utęsknienie sekund dotknięci zaklętym w obrazie natchnieniem autora. Kim jesteśmy? Dokąd prowadzi nasza droga? Obserwujemy, rozważamy, stawiamy pytania, poszukujemy na nie odpowiedzi...

Poszukujemy w sobie człowieczeństwa, jak ukrytego skarbu – perły w koronie Królów.

Czy istnieje ponadczasowy morał, zawarty w akcie twórczym, który można zdefiniować jednym zdaniem?

Sprawdzian wiary

Dennis
Covington

ZBAWIENIE NA
SAND MOUNTAIN
NABOŻEŃSTWA
Z WĘŻAMI
W POŁUDNIOWYCH
APPALACHACH

Przez dwadzieścia minut tan-
czyliśmy i śpiewaliśmy,
a muzyka przeszła w szalone
narkotyczne zawołanie. Głos
siostry Lydy brzmiał jak trzask
rozdzieranego materiału. [...]
Nagle Dewey Clifton zebrał
wszystkie sześć grzechotników
i jedną ręką je unosił. Następnie
grzechotniki wziął brat Carl
i położył je sobie na głowie,
a potem rzucił je między węż-
czyznem. Wszystko działo się
tak szybko i było tak niesamo-
wite, że straciłem rozumienie,
gdzie są węże i kto je trzyma.
W ogóle mnie to nie obchodziło.
Brat Timmy nachylił się w moją
stronę i zadończył wstać tuż
przed sobą.



Na początku XX w.,
na południu Stanów
Zjednoczonych,
w krainie u podnóża
Appalachów, powstał
nowy odłam religii
chrześcijańskiej.
**Snake handler
churches** – kościoły
poskramiaczy węży –
to prawdopodobnie
jedne z najbardziej
tajemniczych
i osobliwych kultów
Południa.

Dennis Covington

*Zbawienie na Sand Mountain : nabożeństwa z wężami
w południowych Appalalach*

197 s. ; 23 cm

Wotowiec : Wydawnictwo Czarne, 2016
2-79

głoszą prorocтва, uzdrawiają i wypędzają
demony, piją strychninę, wkładają dłonie do ognia
i, przede wszystkim, biorą na ręce jadowite węże

KSIĄŻKA DENNISA COVINGTONA „Zbawienie nad Sand Mountain” (wydana w „amerykańskiej” serii wydawnictwa Czarne) opowiada o Kościele Jezusa ze Znakami, niewielkim odłamie ruchu zielonoświątkowców. Wyznawcy, nazywani wężownikami, bardzo dosłownie przyjęli fragment Ewangelii według św. Marka: *W imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże brać będą do rąk i jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić* (Mk 16, 17-18). Wierzą więc w znaki zsyłane przez Ducha Świętego, głoszą prorocтва, uzdrawiają i wypędzają demony, piją strychninę, wkładają dłonie do ognia i, przede wszystkim, biorą na ręce jadowite węże.

Dlaczego to robią? Cemu właściwie mają służyć te śmiertelnie niebezpieczne rytuały? Covington początkowo planował napisać reportaż o procesie jednego z kapłanów ludzi-węży, który próbował zamordować żonę. Piętrzące się pytania nie dawały mu jednak spokoju. Musiał przekonać się, co kieruje ludźmi, którzy

decydują się otrzeć o śmierć w imię wiary. Zaczął uczęszczać na nabożeństwa wężowników w obskurnych kościołach i opuszczonych stacjach benzynowych. Był świadkiem spotkań modlitewnych, podczas których wygłaszano pełne uniesienia kazania, a wyznawcy śpiewali hymny, ekstatycznie tańczyli w rytm głośnych dźwięków gitar, bębnów i tamburynów. Sprawiało to wrażenie zbiorowego transu. Wierni twierdzili, że trzeba w pełni poddać się działaniu Ducha Świętego, ponieważ można wtedy dostąpić łaski, która uchroni przed ukąszeniem. Jednakże nawet w jego przypadku, trzeba mocno wierzyć w uzdrowienie, gdyż wezwanie lekarza oznaczałoby brak zaufania do Boga.

Autor, zafascynowany niezwykłą spotecznością wężowników, szybko sam zaczął się utożsamiać ze wspólnotą, stając się „bratem Dennisem”, co na szczęście nie pozbawiło go obiektywizmu – wciąż potrafił dostrzec rywalizację i obtudę członków zbiorowości. Spotkanie z „ludźmi od węży” stało się dla niego pretekstem do poszukiwania własnej tożsamości i korzeni, a także początkiem przemiany religijnej. Dzięki osobistemu podejściu i zaangażowaniu Covingtona, reportaż nabiera charakteru autobiografii, a miejscami nawet powieści.

Przygoda reportera z wężownikami musiała się skończyć. Różnice światopoglądowe były nie do pogodzenia, wywołały bunt „brata Dennisa”, prowadzący najpierw do jego wykluczenia, ale również, w pewnym sensie, zbawienia. Doświadczenie to pozwoliło mu jednak na wejście w spoteczność ponurego, ubogiego Południa i w niezwykle, niemal szalone religijne praktyki, które mają zmyć grzechy i przynieść odkupienie. ■

GLOBAL PLUS

Biuro Rachunkowo-Audytorskie

§

• KSIĘGOWOŚĆ •

• DORADZTWO PRAWNO-GOSPODARCZE •

• DOFINANSOWANIA •

ul. Warszawska 10, lok. 9

25-306 Kielce

tel. 531 451 655

<http://globalplus.com.pl>

Coś poza dinozaurami



Macroscream, *Macroscream*, AltrOck Productions, 2016

rozmach, pasja, wirtuozeria

Sezon ogórkowy nie sprzyja wydawaniu godnych uwagi nowych płyt. Nie chcąc uchodzić za bardziej konserwatywnego, niż jestem, szukałem wytrwale czegoś wartościowego, ale lekkiego, bo przecież są wakacje. Niestety.

PIERWSZE MIEJSCE BRITYJSKIEJ listy albumów, grupa Blossoms, to niewypał. Pet Shop Boys byli jednak, w porównaniu z tym stabiutkim zespołem, wielcy. Wild Beasts ze swoim nowym wydawnictwem nudni jak flaki z olejem. Zużyty po smażeniu frytek. O reszcie nowych i starych gwiazd nie warto wspominać.

Zupełnie przypadkowo wróciłem do korzeni mojego „poważnego” słuchania muzyki. Czyli do rocka progresywnego. Za sprawą włoskiego zespołu Macroscream. Prog rock jest muzyką alternatywną. Znowu. Bo zanim tak około 1975 r. stał się karykaturą samego siebie, już był muzyką alternatywną. Zespoły prog rockowe grały w małych klubach, wchodziły w swoisty dialog ze słuchaczami. Wydaje się to dziwne, ale tak rzeczywiście było. Grupy takie jak Yes, ELP, Genesis, Pink Floyd wyprowadziły ten ambitny i nieco przeintelektualizowany gatunek na stadiony. Stało się tak za sprawą popularności zespołów progresywnych i sprzedaży płyt w ilości, o jakiej dzisiejsze gwiazdy mogą tylko marzyć. Sukces komercyjny był początkiem końca tej wartościowej, ambitnej muzyki.

Dzisiaj prog rock wraca do korzeni. Poza dinozaurami spijającymi śmietankę z dawnej świetności pojawiają się nowe grupy. Jedną z nich jest włoska formacja „Macroscream”. Przyznam się, że ze zdziwieniem słuchałem tej dziwnej, staroświeckiej płyty. Podróż w czasie. Odświeżająca. Jeszcze większe zdumienie budzi ilość muzyków, która wzięła udział w nagraniu. Liderem grupy jest Alessandro Patierno – gitary: basowa, klasyczna i akustyczna, fortepian, mandolina, vocoder, instrumenty perkusyjne, chórki. Oprócz niego jest w zespole pięciu muzyków, ale w nagraniu albumu wzięło udział 13 dodatkowych instrumentalistów.

Rozmach. Jak za starych dobrych progresywnych czasów. Muzycznie jest bardzo dobrze. Na płycie brzmia echa muzyki klasyków gatunku jak na przykład Gentle Giant, Egg, Area.

Brzmienie zespołu nie jest kopią. Jest twórczym nawiązaniem. Zrobionym z pasją, ambicją i wirtuozerią. Czyli z tym „czymś”, o co tak naprawdę w dobrej muzyce chodzi. Warto posłuchać. Nie tylko dla fanów „starych” brzmień. Bo to jest alternatywa. ■

Koreańska niespodzianka

Mieli grać w namiocie na scenie eksperymentalnej na tegorocznym OFF Festivalu. Na skutek zbiegu przedziwnych okoliczności, zmian, niekoniecznie dobrych, z jakimi mieliśmy na katowickim offie do czynienia, zagrali na dużej scenie w „prime time”. I to była największa niespodzianka festiwalu.

WYDARZENIE, KTÓRE pozostało w mojej pamięci. Koncert udał się muzykom pod każdym względem. Publiczność słuchała tej dziwnej mieszanki tradycyjnej koreańskiej muzyki i ciężkich metalowych riffów bez znużenia. Występ był świetny. W jednym z wywiadów lider grupy, wokalista, gitarzysta, grający także na tradycyjnych instrumentach dętych Lee Il-woo mówił, że często mieli kłopoty z ustawieniem zbilansowania dźwięku. I dlatego jeżdżą w trasy ze swoim dźwiękowcem. Słuchając tej muzyki na żywo trudno się temu dziwić. Zmiany dynamiki i natężenia obecne w tej muzyce są trudne do ogarnięcia.

To brzmi, wciąga. Jest egzotyczne i znajome jednocześnie. Panie grające na tradycyjnych koreańskich instrumentach to wirtuozki. Perkusista robi swoje. Jest moc, potęga i klimat. Jest refleksja i liryzm rodem z Dalekiego Wschodu. I metalowe, diaboliczne szaleństwo. Podobnie jest na ich ostatniej płycie „A Hermitage”.

O czym śpiewają? Podobno o zagrożeniach dla ludzkości, miłości i nienawiści. Robią to jednak w swoim, niepowtarzalnym stylu. I to jest dobre. Wciąga. A na koncert chętnie podszedłbym jeszcze raz. I zobaczył szczęśliwych po udanym występie muzyków z dalekiej Korei. ■



Jambinai, *A Hermitage*, Bella Union, 2016

moc, potęga i klimat

wszyscy uśmiechają się w tym samym języku



„Pamiętaj abyś Happy Day święcił” można by sparafrazować trzecie przykazanie po finałowym koncercie z okazji obchodów Światowych Dni Młodzieży, który miał miejsce 24 lipca w amfiteatrze na kieleckiej Kadzielni.

Marta Baran

To **WSZYSTKO DŁATEGO**, że widowisko muzyczne zatytułowane „Alleluja czyli happy day” stanowiło punkt kulminacyjny obchodów Światowych Dni Młodzieży w naszej diecezji. Świadczą o tym tłumy, które w atmosferze adoracji bawiły się w rytm światowych hitów w wykonaniu rodzimych artystów. Podczas koncertu widownia miała okazję posłuchać popisów wokalnych Wioli Sobczyk, Dominika Skrzyniarza, Romana Słomki, Lilii Kowalskiej, a także Jakuba Wojtasika. Oprócz solowych występów na deskach Amfiteatru pojawiły się także zespoły takie jak: Mafia, Folya, Wolni Ludzie oraz Kapela Jędrusie. Nie można także nie wspomnieć o chórach Fermata, Harmonia, Doxa oraz Salezjańskich Nutkach, które okazały się ciekawym uzupełnieniem całości repertuaru.

Celebrowaliśmy jednak Światowe Dni Młodzieży. Co oznacza, że tego wieczoru na scenie nie mogło zabraknąć obcokrajowca. Stąd, mieliśmy okazję gościć Leye Oladipupo, nigeryjskiego perkusistę, producenta, znanego ze swojej działalności muzycznej niemal na każdym kontynencie. Warto dodać, iż do tak skomponowanej oprawy muzycznej dodano także interesującą

część wizualną. Mianowicie, w tle wyświetlano materiały filmowe, na których treść składały się widowiskowe ujęcia świętokrzyskich zabytków sakralnych. W tym miejscu należy także wspomnieć o choreografii w wykonaniu grupy Michała Szuby. Z pewnością, lekkość ruchów tancerzy wywierała niebiańskie wrażenie na widzach.

Reasumując, mogłoby się zdawać, że iście wyśmakowana kombinacja gatunków i preferencji muzycznych wymienionej grupy twórców zabrzmiał podobnie do dźwięków, które niegdyś płynęły z biblijnej wieży Babel... Jednak nic bardziej mylnego!

Program artystyczny okazał się być o wiele bardziej kompatybilną konstrukcją, bowiem przyświecała mu jedna idea – doskonale rozumiana przez wszystkich, którzy przyczynili się do organizacji koncertu przy alei Legionów 1. O czym mowa? O uśmiechu! A przecież, w myśl słów pisarki Olivii Goldsmith: *wszyscy uśmiechają się w tym samym języku. Tylko uśmiech jest jednakowy na całym świecie. Możesz się uśmiechnąć po angielsku, a będzie to znaczyło dokładnie to samo w Tajlandii.*

Elektronika spoiwem dla pokoleń

Łukasz Rakalski Darka Makaruka poznałem podczas jego występów z Orkiestrą Świętokrzyską, kierowaną przez Włodka Kiniorskiego. Nieokrzesane frazy z jego syntezatorów stanowiły bezcenny wkład do spontanicznych aranżacji „Osi”, które upamiętniały twórczość wspaniałego świętokrzyskiego perkusisty Michała Zduniaka.

Z wielką ciekawością podszedłem do wyprodukowanego przez Darka albumu „Kino mocne”, tym bardziej, że wystąpili tu również gościnnie muzycy tacy, jak Michał Urbaniak, czy Wojtek Mazolewski.

Tytuł albumu **BARDZO** trafnie wprowadza w jego obiecującą koncepcję. Najbardziej znane kompozycje, rozbrzmiewające w filmach międzywojennej Polski (m.in. „Paweł i Gawęł”, „Ada! To nie wypada”) zostały skonfrontowane z odważnymi improwizacjami oraz z dźwiękami zupełnie abstrakcyjnymi. Czy współczesność przeplata się jednak z tradycyjnym brzmieniem przedwojennych kompozytorów, tak jak życzą sobie tego wykonawcy?

Aby się o tym przekonać, należy oddać się muzyce w pełnym skupieniu, ponieważ dzieje się tu naprawdę sporo. Od razu na wstępie chciałbym zwrócić uwagę na liryczne solo Wojtka Mazolewskiego w utworze „Ach, śpij Kochanie” oraz bardzo przykuwające ucho partie trąbki Michaela Patchesa Stewarta w utworze „Lisie ognie”. Są to dwa elementy, do których z przyjemnością powracam. Nadają artystyczny wydźwięk całej płycie.

W mojej ocenie album posiada także kilka niedociągnięć. Aranżacje utworów obfitują w bardzo abstrakcyjne i przestrzenne brzmienia, które oddziałują na wyobraźnię („W małym kinie”). Niestety, po przesłuchaniu kilku innych utworów, takich jak „Umówiłem się z nią na dziewiątą” dostrzec można, iż brak im jakiejś spójnej koncepcji, a ilość różnorodnych pomysłów

i melodii zdecydowanie dominuje nad jakością. Nie pomaga fakt, iż wśród ciekawych brzmień znalazły się również syntetyczne trąbki i flety („W tę upalną noc”). Apogeum stanowi ohydne, plastikowe solo syntezatora imitującego obój („Nie kochać w taką noc”).

Myślę, że spora część czytelników zgodzi się ze mną, jeśli stwierdzę, że o kolorze muzyki w znacznym stopniu decydują jednak wokaliści. W tym momencie nadchodzi największe rozczarowanie. O ile wokalizy Asji Czajkowskiej i Magdy Dąbrowskiej brzmią poprawnie i zyskują sporo dzięki bogatym aranżacjom, panowie Czesław Moził, Tomek Lipiński i Robert Brylewski najwyraźniej nie znaleźli sposobu, by odnaleźć się w tej abstrakcyjnej odstonie znanych przecież melodii.

Na marginesie wypadłoby wspomnieć o dodatkowej ścieżce z utworem „Dzisiaj ta”. Jest on o tyle istotny, że posiada niezwykle nośny puls. Jest to rodzaj energii, który kojarzy mi się z osobą Darka Makaruka.

„Kino mocne” moim zdaniem silnie odzwierciedla nastroje sztuki postmodernistycznej XX wieku. Poprzez gwałtowne i figlarne operowanie wszelkimi możliwymi kształtami i kolorami na jakiś czas przykuło moją uwagę. Myślę, iż ma pesymistyczny wydźwięk, ale należy je docenić, jako ciekawy eksperyment z muzyką elektroniczną. ■



Darek Makaruk, *Kino mocne*, SJ Records, 2016

MUZYKA

ZBOŻOWIA

ETNO-REGGAE FEST



Wolni Ludzie



Atlas Motyli

Fot. Paweł Chmielewski

Marta Baran

Dawno, dawno temu, za wieloma... slumsami, bo właśnie w takich okolicznościach zrodziła się muzyka, znana dzisiaj jako reggae. Dokładnie na Jamajce, gdzie grupa kilku przyjaciół postanowiła założyć zespół. Mimo wspomnianego niedostatku, ich życie mogło przypominać bajkę, ponieważ to oni, niczym „naród wybrany” zostali przez absolut obdarzeni wyraźnymi zdolnościami muzycznymi... Tak też się traktowali, jak ludzie z Biblii. W efekcie nazwali siebie „The Wailers”, czyli „Lamentujący”...



Duberman



Studia instrumentów Etnicznych

KĄŻDY FAN Z PEWNOŚCIĄ, zorientował się, że ta historia wydarzyła się w roku 1962 i zwiastowała początek kultu muzyki reggae na świecie. Bowiem, wraz ze wzrostem popularności, formacja z Bobem Marleyem na czele, zyskiwała naśladowców na pozostałych kontynentach... W efekcie Kielce też mają swojego Marleya, a dokładnie – „MareJaha!” Kamiła Sewerzyńskiego, lidera grupy Wolni Ludzie (Oskar Wilman, Piotr „Jackson” Wolski, Piotr Kiliański, Marek Gawęcki, Piotr Fuczyk i Filip Ciuruś), która 26 sierpnia była jedną z atrakcji Zbożowa Etno-Reggae Fest, zorganizowanego przez Bazę Zbożową, poprzedzając – pierwszego dnia – występ krakowskiej gwiazdy, formacji Duberman.

Dzień pierwszy, dedykowany reggae, to przede wszystkim ogromna dawka pozytywnej energii, która wręcz eksplodowała. Charakterystyczne dla gatunku stłumione gitarowe riffy, tzw. „robaki”, wspomagane efektem wah-wah oraz teksty w języku polskim i angielskim niosące optymistyczne przesłanie – tak skrótkowo można opisać to, co usłyszeli widzowie na Zbożowej. Zaś, utwory „To nie tak” Wolnych Ludzi czy „The Same Song” autorstwa Israel Vibration w wykonaniu Dubermana porwały niektórych do tańca. Przy okazji dodam, że Wolni Ludzie zaczynają być znani na arenie ogólnopolskiej (ostatnio zdobyli nagrodę za udany debiut na plockim Reggealand), zaś goście



Studium Instrumentów
Etnicznych



Zmiana Czasu



Atlas Motyli

z Krakowa (w dwunastoosobowym składzie) niedawno wznowili działalność zespołu, co zaowocowało krążkiem „Duberman is back”, którego promocją aktualnie się zajmują.

Nieco odmienne, lecz równie entuzjastyczne emocje wzbudzały sobotnie koncerty. Niemalże każdy gość Etno-Reggae był wyraźnie zaabsorbowany surowością brzmienia nietypowych instrumentów. Tu dobrym przykładem jest Studium Instrumentów Etnicznych – projekt muzyczny autorstwa Piotra Stefańskiego, wykorzystujący w swoich kompozycjach m.in. konga, afrykańskie djembe oraz dunduny. Kombinacja brzmień folkowych z elementami szeroko pojętej psychodelii intrygowała widzów, którzy zdawali się być zahipnotyzowani występem grupy ze Skarżyska-Kamiennej. I choć o SIE można pisać bez końca, przypomnijmy jeszcze, że większa część prezentowanego przez nich materiału pochodziła z płyty „Tu nie ma miejsca na strach”, wydanej w 2014 r. Niemal analogicznie, bo także w sposób iście eksperymentalny, z dźwiękiem obchodzili się członkowie grupy Atlas Motyli. Wokal Alicji Białek-Rozborskiej, której towarzyszyli: Paweł Janaszek – bas, Radosław Nowakowski – bębny, Rafał Gęborek – trąbka, Przemek Greger – gitara, stworzył klimat wręcz magiczny. Zmiana Czasu skłaniała odbiorców do refleksji, szczególnie dzięki poetyckim wersom, w których obecne były frazy m.in. Henryka Jachimowskiego, zaś pełen powagi głos Michała Zapały, lidera zespołu, doskonale współgrał z liryką tekstów.

Po festiwalu nasuwa się jeden wniosek – alternatywna scena muzyczna, którą tworzą artyści z naszego regionu, z pewnością dorównuje tej z większych miast Polski, gdzie istnieją przecież lepsze warunki finansowe, sprzyjające rozwojowi tego typu działalności artystycznej. 🇵🇱



Atlas Motyli



Zmiana Czasu



Marta Baran

Reżyseria – pisarz

O niezrównana sztuko teatru! – z zachwytem kreśli na kartach „Dzienników” Stefan Żeromski, kontynuując po chwili: Gdy jako dziecko, dwunastoletni kawaler (...) przywieziony ze wsi do miasta dostąpiłem po raz pierwszy łaski widzenia teatru, doznałem jego czaru.

W ŚLAD ZA PISARZEM, bo z porównywalną apoteozą można oglądać bieżącą wystawę „Żeromski w kinie i teatrze” w Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego w Kielcach. Przez ponad cztery miesiące wszyscy zwiedzający mieli niepowtarzalną okazję ujrzeć rekwizyty teatralne i filmowe związane z adaptacjami i ekranizacjami dzieł pisarza.

Już przy wejściu wszystkich zwiedzających wita przystojny jegomość... czyli manekin ubrany w sztywny kostium, skomponowany na podstawie charakterystyki postaci męskich, zaczerpniętych z dzieł Żeromskiego. Potem można spotkać wiele podobnych strojów, lecz nie tylko mitońnicy mody znajdą tu coś godnego

kopalnia wiedzy dla teatrologów i filmoznawców

uwagi... To przede wszystkim istna kopalnia wiedzy dla teatrologów i filmoznawców. Zbiór rekwizytów tworzą bowiem bardzo liczne fotosy z planów, prób, spektakli – wszystkie związane z postacią Żeromskiego.

Wizualnie atrakcyjną ekspozycję uzupełniają dokumenty: zaproszenia, afisze teatralne czy ulotki reklamowe. Honorowe miejsce zajmują manuskrypty Żeromskiego, a także niemal antyczny sprzęt multimedialny, stare aparaty, kamery, szpule filmowe i klisze fotograficzne, na których chociażby Henryk Szaro rejestrował ekranizacje Żeromskiego w późnych latach 20.

Jeśli już o reżyserach mowa, to trzeba stwierdzić, że żaden z zajmujących się dziełem autora „Wiernej rzeki” nie został pominięty. To była wystawa dla ciekawskich, którzy w czasie trwania ekspozycji pojawili się w murach muzeum i mieli okazję zaspokoić głód wiedzy i zdobyć setki czarno-białych wspomnień o sławnym pisarzu wywodzącym się z Kielecczyny. ■



Fot. Tomasz Kozłowski

Hollywood w cieniu swastyki

Piotr Kletowski

W filmie Quentina Tarantino „Bękart wojny” pada żartobliwe stwierdzenie, że Amerykanie przystąpili do wojny tylko po to, by zniszczyć kinematograficzną konkurencję „w osobie” niemieckiego kina.

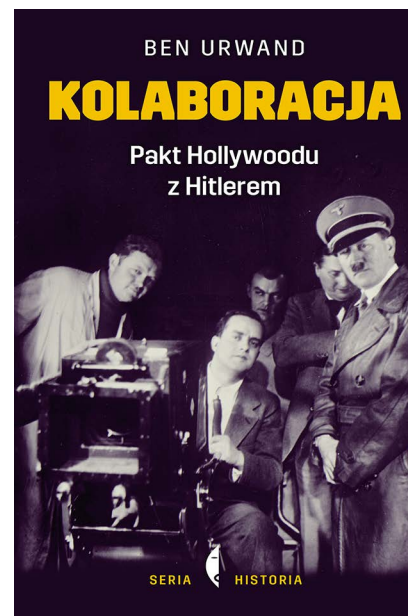
KINO NIEMIECKIE, KTÓREGO potęgą budowana była od lat nastych XX w., swoje apogeum uzyskało w latach 30., i mimo emigracji dużej części filmowców z żydowskim rodowodem z III Rzeszy do USA, wciąż utrzymywało dominującą pozycję w europejskiej produkcji filmowej, stanowiąc rzeczywistą konkurencję dla amerykańskiego przemysłu (dość powiedzieć, że technologicznie kino niemieckie było bardziej rozwinięte niż hollywoodzkie – podczas, gdy w Fabryce Snów realizowano „Przeminęło z wiatrem”, w 1939 r., w trójkolorowym Technicolorze, w Niemczech, na jubileusz UFY, w 1943 r., Josef von Báky, zrealizował „Przygody Barona Münchhausena” na taśmie AGFY „łapiącej” pięciokolorowe spektrum). Jednak mało kto wie, że kino niemieckie, także kino nazistowskie (w polskim piśmiennictwie filmoznawczym opisane świetnie w książce Bogusława Drewniaka „Teatr i film Trzeciej Rzeszy”) moderowało w dużym stopniu również amerykańską produkcję filmową, przed 1941 r., a więc przed momentem przystąpienia USA do wojny z Państwami Osi.

Ten niezwykle fenomen naświetla w swej znakomitej książce amerykański historyk i dziennikarz Ben Urwand. „Kolaboracja. Pakt Hollywoodu z Hitlerem” to świadectwo ścisłej współpracy Hollywood z nazistowskimi Niemcami, w zakresie produkcji i dystrybucji filmów, realizowanych przez amerykańskie studia filmowe, które miały być dystrybuowane na terenie III Rzeszy. Jednym z głównych „bohaterów” książki jest Georg Gyssling – niemiecki konsul w Los Angeles, który nie tylko cenzurował gotowe filmy mające być pokazywane w III Rzeszy, ale również wymuszał poważne zmiany jeszcze na etapie scenariuszowym kierowanych do realizacji filmów. Raporty z aktywnej działalności Gysslinga na polu cenzorskim, przytaczane z pietetyzmem przez autora książki, stanowi najistotniejszą i najlepszą część całej publikacji, ukazując w całej krasie nazistowski „Kulturkampf” w Hollywood.

Ben Urwand
Kolaboracja. Pakt Hollywoodu z Hitlerem
316 s.; 24 cm
Wrocław: Wydawnictwo Czarne, 2015
791(73):323.14(430)

Ścisła współpraca między Hollywoodem a oficjalnymi, kulturalnymi czynnikami nazistowskich Niemiec ma swój przerażający wymiar (o którym, rzecz jasna, pisze również Urwand, przedstawiając choćby losy żydowskich filmowców, którzy uciekli z Niemiec do USA, ale wciąż byli „prześladowani” przez hitlerowców, nie mogąc pracować w Hollywood), jeśli zdamy sobie sprawę, że amerykańskie zagłębienie filmowe tworzone było, w przeważającej części, przez amerykańskich producentów żydowskiego pochodzenia, którzy mimo świadomości istnienia Ustaw Norymberskich czyniących antysemityzm fundamentem systemu III Rzeszy, dostosowywali realizowane przez siebie filmy do wymogów niemieckiego rynku, licząc (całkiem zresztą słusznie) na wysokie profity z dystrybucji hollywoodzkich produkcji w Niemczech pod rządami Hitlera.

Dlatego też książka Urwanda dotyka o wiele poważniejszej kwestii, niż tylko kinematograficzna produkcja, kwestii, które raz po raz ponoszą autorzy różnych, mniej lub bardziej precyzyjnych publikacji historycznych: udziału Stanów Zjednoczonych w tworzeniu gospodarczej i kulturalnej potęgi III Rzeszy, właściwie do momentu, kiedy ta – będąc już totalitarnym imperium – rozpoczęła wdrażanie planu „Ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Dlatego arcyciekawa, i arcyważna książka Urwanda – mimo poważnego tematu napisana w sposób niezwykle atrakcyjny dla czytelnika (pełna jest niezwykle ciekawych, dodajmy, niekiedy zabawnych anegdot), stanowi świetne uzupełnienie dla takich pozycji jak choćby słynna książka Edwina Blacka „IBM i Holocaust” – ukazująca konsekwencje amerykańskich korporacji ze zbrodniczym, nazistowskim systemem. Zaś po przeczytaniu książki Urwanda warto sięgnąć po równie ciekawą, ale niezauważoną szeroko publikację Michała Biskupskiego „Nieznana wojna. Hollywood przeciwko Polsce”, odśladającą kulisy anty-polskiej manipulacji wdrażanej przez Hollywood nie tylko inwigilowanego przez nazistów, ale również komunistycznych szpiegów. ■



kino nazistowskie moderowało w dużym stopniu amerykańską produkcję filmową

W kinie lepiej słychać

Na prawie miesiąc przed rozpoczęciem święta polskiego kina w Gdyni rozpętała się polityczna burza nad filmem „Historia Roja. W ziemi lepiej słychać”, Jerzego Zalewskiego. O jego nieobecności w konkursie głównym FPFF przypomniał sobie Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotr Gliński, wystosowując do dyrektora festiwalu – Michała Oleszczyka list, w którym wyraził ubolewanie wynikłe z faktu braku „Roja...” *pierwszego filmu w polskiej kinematografii poświęconego żołnierzom wyklętym* na gdyńskim forum.

Piotr Kletowski

ZASADNICZO JĄDREM SPORU był zarzut, jaki wysunął wobec władz festiwalu wicepremier, zarzucając im „upolitycznienie” festiwalu czy raczej zawłaszczenie go przez siły liberalne, czy wręcz postkomunistyczne, niedopuszczające do głosu, z przyczyn czysto ideowych filmów, grających na patriotycznej – czytaj prawicowej – nucie. „Festiwal” w osobie dyrektora Oleszczyka odparowywał zarzuty udowadniając, że decyzja o niedopuszczeniu „Roja...” do konkursu miała naturę czysto estetyczną, czyli, że film był po prostu zbyt słaby, by konkurować z dziełami przewyższającymi go pod względem artystycznym. Czy argumentacja strony festiwalowej wytrzyma próbę konkursowej projekcji, okaże się już 17 września (ciekawe, data historycznie symboliczna, jednocześnie wyznaczająca czas rozpoczęcia „bitwy o polskie kino” – jak już zaczyna być tytułowana 41. edycja FPFF), ja chciałbym parę słów poświęcić „bohaterowi” całego zamieszania, czyli filmowi Zalewskiego.

„Roj...” jest fabularną wizją życia i śmierci Mieczysława „Roja” Dziemieszkiewicza – żołnierza Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, który jako komendant oddziału niepodległościowego, działającego w latach 1945-48 na Mazowszu, dokonywał odważnych akcji zbrojnych wymierzonych w przedstawicieli nowej władzy ludowej „urządzącej” się w Polsce z nadania Armii Czerwonej (której przedstawicieli żołnierze „Roja” również nie oszczędzali). Film dość dokładnie opisuje los „Roja”, który z dość bezbarwnej, niewyróżniającej się z tłumu postaci, przeistacza się w prawdziwego bohatera

niosącego śmierć zdrajcom niepodległej Polski, a pocieszenie jej obrońcom. Film zmierza do tragicznego finału, w którym zdradzony przez narzeczoną, osaczony przez przeważające siły wroga Mieczysław Dziemieszkiewicz oddaje życie za wolność zniewolonej przez Sowietów i ich „pachołków” Rzeczpospolitą.

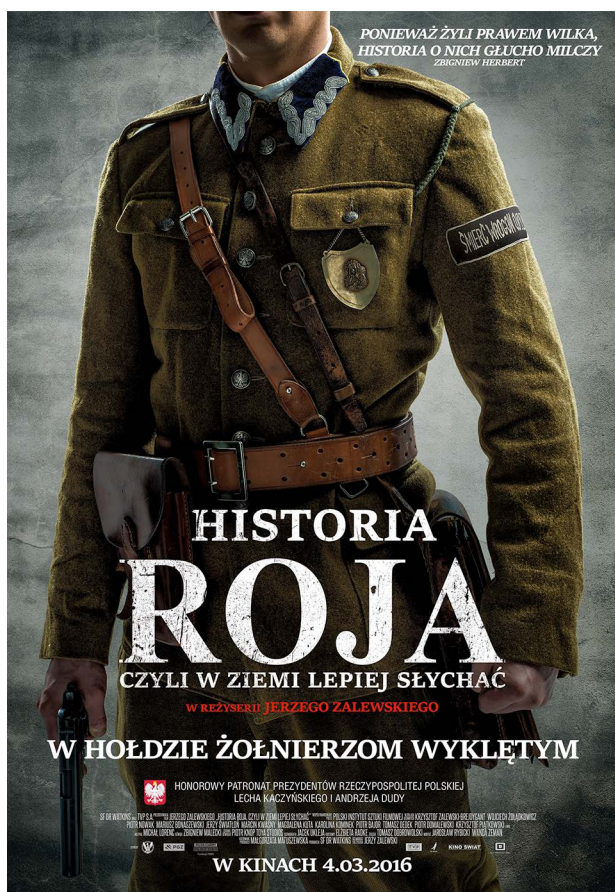
Już z pobieżnego streszczenia filmu wydawać by się mogło, że mamy do czynienia z prostą hagiografią „żołnierza wyklętego”, który niczym Święty Jerzy na koniu, walczy z czerwonym smokiem komunizmu. Na pozór tak jest, Zalewski, który swój film tworzył od 2009 r. (zaczął w czasach rządów PIS-u, przerwał z chwilą dojścia do władzy PO, skończył kilka miesięcy temu), umieszcza swoje sympatie (i w zamierzeniu sympatie widzów) po właściwej, czytaj „Rojowskiej” stronie. „Ruscy” i UBecy, to zdrajcy, prymityw, gwałciciel, mordercy i bluźniercy, gwałcący polskie dziewczyny, przemieniający kościoły na świetlice, rozstrzeliwujący (dosłownie) święte, przydrożne figurki, jako symbole ciemnoty i zaprzaństwa. Z kolei „żołnierze wyklęci” – to odważni, zmotywowani, oddani wartościom „Bóg, honor, ojczyzna” herosi ze świętymi ryngrafami na piersiach, bez mrugnięcia okiem likwidujący przeciwników niepodległej Polski. Ale w takim, dość topatologicznym obrazie da się dostrzec pewne rysy, niezauważone tak

przez zaprzysięgłych zwolenników, jak i przeciwników filmu Zalewskiego.

Otóż gdyby „Roj...” obejrzał ktoś, kto jest całkowicie nieświadomy ideologicznego podłoża filmu, uderzyłoby go jedno: obraz

świata ogarniętego szaleństwem zabijania. Wszyscy mordują tu wszystkich. Ubecy mordują polskich patriotów, polscy patrioci Ubeków, „Ruscy” Polaków, Polacy „Ruskich”. Co więcej zarówno dorośli, jak i dzieci „zarażeni” są „wirusem anihilacji”. Obrazuje to świetna (być może najlepsza) scena w filmie, kiedy ukrywający się we wsi „Rój” pozwala pobawić się swym pistoletem, zafascynowanym jego osobą, ale przede wszystkim właśnie owym pistoletem (czy raczej jego morderczą potencją) małemu chłopcu. Każdy z bohaterów pojawiających się na ekranie jest tak naprawdę uzależniony od zadawania śmierci, od zabijania. Nawet, a zwłaszcza „żołnierze wyklęci”, których pean (w jakimś sensie całkowicie słusznie) wyśpiewuje swym filmem Zalewski. To nie „Bóg, honor, ojczyzna” – zdaje się

obraz świata ogarniętego szaleństwem zabijania



mówić reżyser – pcha młodych patriotów, potomków ziemiańskich rodów, których przed wojną raczej mało obchodził los pracujących w majątkach chłopów do mordowania „komuchów”, wrogów wolnej Polski, lecz właśnie ten natóg zadawania śmierci. A i „utrwalacze” władzy ludowej – prostactwo z czworaków awansujące do ról oficerów Urzędu Bezpieczeństwa – to zaczadzeni śmiercią oprawcy, nie potrafią żyć bez „polowań” na znienawidzonych „paniczyków w butach z cholewami”.

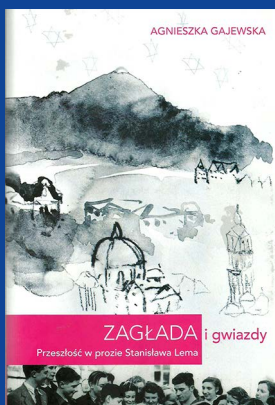
Ta rzeczywistość dyszy nienawiścią, podsycaną dodatkowo przez obecność „radzieckich wyzwolicie- li” (i jeśli w ideologicznym sporze rzuca się na szalę niepodległościowe racje „paniczyków” i równościowe postulaty „uciskanych”, to właśnie brutalna, sowiecka interwencja, każe jednak – każdemu uczciwemu widzo- wi – stanąć właśnie po stronie „Roja” i jego ludzi). A więc przy całej umowności i swego rodzaju jednowy- miarowości świata przedstawionego w dziele Zalew- skiego owa „mordercza mgła” spowijająca wszystkie, bez wyjątku, postaci „Roja...” czyni z niego film w swej istocie niejednoznaczny, oddający sprawiedliwość cza- som, określanym przez niektórych historyków mianem „wojny domowej”.

Nie jest to jednak jedyna „rysa” na filmie Zalew- skiego, czyniąca z tego filmu dzieło na swój sposób in- teresujące. Postać „Roja”, choć symboliczna, określana w eksplikacji scenariuszowej (pomieszczonej na stronie www.filmipolski.pl): jako *bliska archetypicznej postaci*

Aniota Zemsty, lub Świętego-Wojownika (...) Jest ucie- leśnionym mitem – pocieszycielskim dla ludzi, za któ- rych walczy, złowrogim dla przeciwników. (...) Jak istota mitologiczna ma dar zjawiania się nagle w dowolnym miejscu i czasie, toteż chłopci nigdy nie tracą nadziei na jego pomoc, zaś wrogowie nie mogą zaznać spokoju na- wet w otoczeniu licznej i potężnie uzbrojonej straży. Ich strach przed Rojem jest tak wielki, że niektórzy przy- pisują mu zdolność przebywania w kilku miejscach na raz! Jego Los jest z góry zapisany i wiadomo, że zmie- rza ku męczeńskiej śmierci. Ale „prawda ekranu” jest inna – „Rój”, mimo że jest ucieleśnieniem ideału, jest przede wszystkim zwykłym człowiekiem, wątpliwym w sens swej walki, swego poświęcenia. Człowiekiem rozdartym, outsiderem wyklętym nawet przez ludzi, dla których walczy i umiera. Świetnie obrazuje to finałowa, oniryczna scena w filmie, w której ranny „Rój”, w ma- lignie, widzi postaci swych ukochanych, którzy zginęli w bratobójczej walce, ale także widzi figurę swej mat- ki, która trzymając na kolanach zmasakrowane ciało „Roja”, mówi *to nie mój syn*.

Kiedy zaś widzimy ostatnie sceny filmu, w którym „Rój” – niczym Che Guevara (zresztą grający tę rolę brodaty Krzysztof Zalewski-Brejdygant przypomina, paradoksalnie, tę ikonę „walczącej lewicy”) – oddaje swe życie w chaotycznej strzelaninie, sami zadajemy sobie pytania, dręczące bohatera: czy naprawdę idee, za które on i jego bliscy oddali życie byłyby warte naj- wyższego poświęcenia. I teraz, właśnie to zawieszenie stanowi o największej wartości filmu Zalewskiego: ci, którzy wyznają wartości, za które żył i umierał kome- dant Dziemiszkiwicz znajdą potwierdzenie swych moralnych wyborów, ci, którzy je negują, będą mieli argument, by odczytać film Zalewskiego (być może wbrew swym odbiorczym intencjom) jako potwierdze- nie swych obiekcji i wątpliwości.

Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że film Zalewskiego ma tę, na swój sposób sprytną niejedno- znacznosc pierwszego i wciąż – mimo konformistyczne- go tonu – najwybitniejszego filmu o „żołnierzach wy- klętych” dzieła Andrzeja Wajdy „Popioły i diamentu”, w którym Zbyszek Chełmicki umierał na śmietniku za- strzelony przez żołnierzy LWP (po wcześniejszym zabi- ciu komunistycznego politruka Szczuki, którego egze- kucji towarzyszyły sztuczne ognie – salwa honorowa?), ale uważna, pozbawiona uprzedzeń lektura „Roja...” po- zwala spojrzeć na „Roja...”, również jako na zaskakująco polemiczny obraz polskiej „wojny domowej”.■



Kosmos ocalonego

Paweł Chmielewski

Agnieszka Gajewska
Zagłada i gwiazdy. Przeszość w prozie Stanisława Lema
 239 s. ; 23 cm
 Poznań : Wydawnictwo Naukowe UAM, 2016
 821.162.1(091)

Seweryn Kahane tuż po zakończeniu wojny przewodniczył Komitetowi Żydowskiemu w Kielcach i był jedną z pierwszych ofiar pogromu kieleckiego, zginął postrzelony przez polskie służby mundurowe w budynku przy ulicy Planty. (...) może być synem drugiej żony stryja Fryca. (...) Seweryn Kahane przybył do Kielc wraz z oddziałem partyzantów AK i zaraz po wyzwoleniu miasta podjął pracę na rzecz ocalonych. Pierwsza scena „Szpitala Przemienienia” to scena pogrzebu, a trumna przyjechała z Kielc.

NIE DO KOŃCA WIADOMO jakie więzy pokrewieństwa łączyły Stanisława Lema i Seweryna Kahane. Na pewno przez jakiś czas mieszkali u rodziców autora „Solaris”, gdy przyszedł pisarz pracować w zakładach Kremina, gdzie Żydzi poszukiwali kosztowności zaszytych w ubraniach z obozów koncentracyjnych, potem ukrywali się po „aryjskiej stronie”.

Książka Agnieszki Gajewskiej z Instytutu Filologii Polskiej UAM w Poznaniu – „Zagłada i gwiazdy. Przeszość w prozie Stanisława Lema” – pokazując okupacyjne losy pisarza tropi autobiograficzne wątki w utworach – tak zdawałoby się odległych jak – „Powrót z gwiazd” i wspomniany już „Szpital Przemienienia”, ślady zagłady żydowskiej mniejszości Lwowa, zakodowane w esejach filozoficznych, powieściach SF, w światach zaludnionych przez cywilizacje robotów. Lem konsekwentnie unikał mówienia wprost o przeszłości, czyniąc zaszyfrowany temat rodzinny, temat lwowski i temat żydowski, głównymi dla swej twórczości. Motyw „obcości”, „odrzućenia”, „ucieczki”, „śmierci”, „eksperymentu” przewija się od „Człowieka z Marsa” do „Pamiętnika znalezionej w wannie”.

Zrozumieć pozycję dziwną? nietypową? osobną? Lem w polskiej literaturze możemy przez pryzmat krytyki zagranicznej. 40 lat temu prawie nie istniał – nawet w przypisach – w polskich leksykonach. Potem, jak sam żartował, z pisarza „dla dzieci”, nagle awansował na poziom „filozofa”. Krytyka niemieckojęzyczna

uwielbiała go za racjonalizm i śmiałe wizje, radziecka oskarżała o szkodliwy wpływ na współczesną fantastykę w ZSRR, amerykańska (piórem Ursuli Le Guin) twierdziła, że wykracza poza poziom pojmowania czytelnika zza oceanu. Jest jak Bregg z „Powrotu z gwiazd”, który mimo swej wyjątkowości, trafia – po wieloletniej i absurdalnej dla współczesnych podróży międzygalaktycznej – do „betryzowanej” (normalnej?) cywilizacji. Odklejony, inny, godzi się na przeciętny styl życia w egalitarnym (idealnym, bo poddanym farmakologii zwalczającej przemoc) społeczeństwie. Przy okazji można prześledzić jak współczesna popkultura literacka i filmowa czerpie nieustannie z prozy Lema. Autorka proponuje interpretację „Powrotu z gwiazd” jako metafory emigracji, połączenia z wielką falą wyjazdów rodzin żydowskich w 1958 r.

Figurą powracającą jest postać ojca – Samuela Le(h)ma, wybitnego lekarza, który cudem przeżył zagładę lwowskiego getta – w autobiograficznym „Wysokim Zamku” opisanego ze szczegółami garderoby: *Krawat ojca był miękki, czarny, wyglądał jak szarfa, wiązał się w rodzaj kokardy*. Garderoba, to obok rozbudowanych obrazów jedzącego bohatera, jedna z obsesji Lema i powracające echo okupacyjnego głodu. Ta postać staroświecko i dziwacznie dla współczesnych ubranego ojca, powróci chociażby w transmisji fal mózgowych Kelvina z oceanem Solaris. O innych krewnych autora „Kongresu futurologicznego” niewiele wiadomo, zginęli prawdopodobnie w Holocauście, a jedynym, z którym – okrężną drogą zresztą – korespondował po wojnie był Marian Hemar.

Lema fascynował przypadek. W charakterystyczny dla siebie, humorystyczny sposób opisywał małżeństwo rodziców, do którego doszło po wyeliminowaniu – kolejno – konkurentów przez reumatyzm, koklusz, niestrawność, przepuklinę („Przypadek i łań”).

W „Zagładzie i gwiazdach”, dzięki drobiazgowym poszukiwaniom Agnieszki Gajewskiej, czytamy o najbardziej dramatycznym przeżyciu okupacyjnym Lema. 2 lipca 1941 r. został przez Niemców zapędzony do więzienia na Brygidkach wraz z innymi Żydami. Mie-li wynosić trupy pomordowanych przez wycofującą się Armię Czerwoną. Co pewien czas rozstrzeliwano grupę z tego swoistego Sonderkommando. Żydów we Lwowie wskazywali Ukraińcy i Polacy.

Odrpryski, skrętnie ukryte w kostiumie SF, tej masakry znajdziemy później na kartach „Edenu” i „Niezwyciężonego”. Los, przypadek sprawił, że Lem ocalał. ■

Lem konsekwentnie unikał mówienia wprost o przeszłości, czyniąc zaszyfrowany temat rodzinny, temat lwowski i temat żydowski, głównymi dla swej twórczości.

Co skrywa studnia?

Agata Orłowska

Miłość do fantasy może być przepastna i głęboka, jak głęboka bywa wyobraźnia i może mieć tyle powodów, ilu jest jej amatorów. Jednym z nich, co sugeruje autor „Studni Zagubionych Aniołów”, może być poetycko brzmiące (przywołane bowiem słowami pieśni samego Schillera) *Sehnsucht* – pragnienie, tęsknota za utraconym (?), ulotnym, nieistniejącym, ale dziwnie bliskim domem. Czy zanurzając się w powieści Artura Laisena, czujemy się jak w domu lub chociaż tęsknimy do rysującego się przed nami świata? To już kwestia indywidualna.

JAK NA GATUNEK PRZYSTAŁO w utworze Laisena (pseudonim autorski pisarza mieszkającego w Kielcach, który publikował opowiadania, m.in. „Księdza Marka trzy spotkania z demonem” i thriller fantasy „CK monogatari”) obserwujemy wieczną walkę dobra ze złem. Świat Błękitu, Kryształ Tworzenia, Święta Góra Dnia i legendarni Jeźdźcy Światła na złotych rydwanach, przenoszące czytelnika do baśniowego Hamamu, to przeciwwaga do ciemnego ziarna, Przekrwionego Oka i czyhającego w ciemnościach mitycznego Demona, którego powrót zwiastować ma nadciągająca Mroczna Gwiazda. Magiczną krainę, przywołującą skojarzenia ze średniowiecznym Bliskim Wschodem, poznajemy jednak dzięki równolegle toczącej się historii rodem ze współczesnej Warszawy. Joanna, Kinga, Tomasz i Michał to bowiem główni bohaterowie utworu, którzy, chcąc nie chcąc, mają, zdaje się, największą rolę do odegrania w toczących się losach przenikających się światów.

Wydany nakładem Genius Creations pierwszy tom „Terai” już na pierwszych kartach składa obietnicę zetknięcia się z magiczną rzeczywistością wielu wymiarów, misternie tkaną nie tylko poprzez zapowiedź epickiego rozmachu, ale też przez poetyckość formy, przeplatanej raz po raz głębszymi refleksjami. Mnogość zastosowanych zabiegów może jednak prowadzić do złudnych wyobrażeń, przeobrażając się z chwilowego zachłyśnięcia rozległością kreacji

w dezorientację i rozczarowanie. Może, co nie oznacza, musi.

Choć w utworze nie brakuje błyskotliwych pomysłów, z ich realizacją jest już nieco gorzej. Wraz z każdą kolejną stroną „Studni...” obserwujemy, jak tajemnicza rzeczywistość Astronoma ze Szklanej Wieży i skutki jej oddziaływania widoczne w warszawskich realiach zamiast nabierać kształtów, rozmywają nieco fabułę i gubią przyczynowość. Czy to świadomy zabieg? Być może... autor zapowiada przecież kontynuację, gdzie wszystko może jeszcze uda się wyjaśnić. Niestety można odnieść wrażenie, że dobrze rozwijającą się, oniryczną atmosferę zastępuje momentami zwyczajny chaos i brak konsekwencji. Pewien zgrzyt widoczny jest również w konstrukcji bohaterów. Mimo, że mało znaczące opisy są nieraz rozbudowane do przesady, charakterystyka postaci jest tylko powierzchowna. Płaskie (w większości) osobowości utrudniają tym samym „zbliżenie się” do bohaterów, z którymi obcować mamy jeszcze w co najmniej jednym tomie.

Wśród minusów wspomnieć należy również o potknięciach tekstowych, nadmiar przecinków z trafiającymi się błędami ortograficznymi domagającymi się poprawek. Wydanie, bądź co bądź, wizualnie intryguje. Schludna, ascetyczna okładka to jego duży atut. Czy to jednak wystarczy, by sięgnąć po ciąg dalszy splecionych opowieści Isthariona z Terai i czwórki warszawiaków? Z pewnością czytelnicy znajdą wiele własnych do tego powodów. ■

ARTUR LAISEN

STUDNIA
ZAGUBIONYCH
ANIOŁÓW



Artur Laisen
Studnia Zagubionych Aniołów
385 s. ; 20 cm
Bydgoszcz : Wydawnictwo Genius Creations :
Morgana Katarzyna Wolszczak, 2015
821.162.1-3

poetyckość formy, przeplatana raz po raz głębszymi refleksjami

Aleksandra Sutowicz

Te duchy wciąż krążą nad miastem

Przeszłość i teraźniejszość, tragiczne losy mieszkańców Kielc po 1945 roku i dramatyczne przeżycia współczesnej mieszkanki miasta, próba rozliczenia się z historią grodu na Silnicą i historią swojej rodziny. W najnowszej książce „Czarne liście”, Maja Wolny przywołuje zapomniane postaci, związane z tragicznymi, kieleckim wydarzeniem sprzed 70 lat (pogrom Żydów) i patrzy na współczesne Kielce oczami głównej bohaterki, Weroniki Czerny.

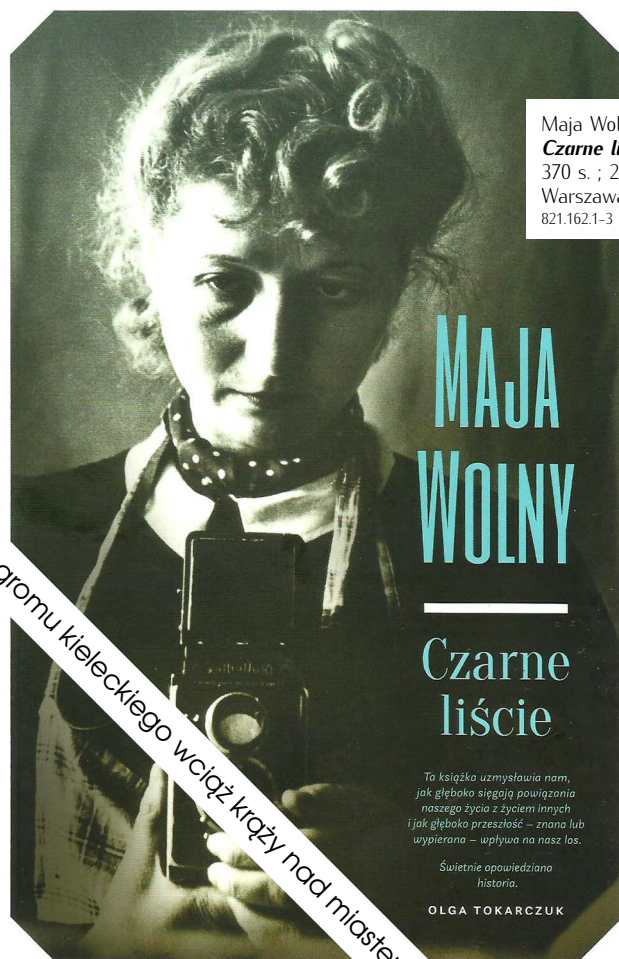
TA KSIĄŻKA TO WĘDRÓWKA po Kielcach współczesnych i tych po II wojnie światowej. Czytając powieść miałam wrażenie, że wciąż towarzyszę Weronice Czerny w poszukiwaniu jej zaginionej córki Laury, szukam jej w Parku Miejskim im. Staszica, na ulicy Żelaznej,

Autorka dotyka tragicznych kart w dziejach miasta. Wydarzenia z 4 lipca 1946 r. przy ulicy Planty 6 na lata napiętnowały miasto. Oprócz tła historycznego mamy do czynienia przede wszystkim z wątkiem kryminalnym, śledztwem, którego celem jest odnalezienie matki Laury oraz próbą zmierzenia się z historią rodziny, dziedzictwem pewnych lęków, ucieczką od nich. Główna bohaterka nie pogodziła się z mroczną tajemnicą matki i przez całe dorosłe życie najpierw ucieka jak najdalej od świętokrzyskich Bielaków, by później w swojej karierze naukowej skupić się na stosunkach polskich chłopów do Żydów, zmarłym oddać swego rodzaju hołd i odkupić winy bliskich.

Z pewnością należą się autorce słowa uznania za poruszenie tematu trudnego i wciąż bolesnego. Widmo pogromu kieleckiego wciąż krąży nad miastem jak dybuk. „Czarne liście” to książka mocno zakorzeniona w kieleckiej topografii, lokalnych wydarzeniach, klimacie społecznym. Niewątpliwie ważne jest również wprowadzenie na karty powieści fotografki Julie Pirotte, postaci autentycznej, która zjawiała się w Kielcach dzień po pogromie by sfotografować ofiary tragedii, choć przyznam szczerze, że wciągnięcie jej w obręb fabuły, jak dla mnie było trochę na wyrost. Dość płynnie udaje się autorce potążyć wątek kryminalny z wątkami historycznymi i społecznymi, jednak przywoływanie znanych, autentycznych postaci, związanych z kieleckim środowiskiem było dla mnie zbyt oczywiste i niewiele wносиło do samej fabuły.

Po zakończeniu książki czułam pewien niedosyt, to lektura, która trzymała w napięciu (w końcu poszukiwania toczą się na dobrze znanymi mi podwórku), ale też szybko, dość szybko, to napięcie, gdzieś ulatuje. Atutem jest fakt, że Maja Wolny nie wskazuje jednoznacznie oprawców, to czytelnik ma sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego?, kto?

Warto zatem wybrać się na ulicę Planty 6, nie tylko po to by oddać hołd ofiarom, ale też skonfrontować się z samym sobą i historią Kielc. ■



Grunwaldzkiej, jadę w Góry Świętokrzyskie by odnaleźć matą dziewczynkę, ale też cofam się do roku 1946 by razem z Julią Pirotte sfotografować miasto dzień po zbrodni, zobaczyć jak wyglądały Kielce w lipcu 46 roku i odnaleźć miejsca, które wyparowały z lokalnych map.

Powinienem zacząć od cytatu: *Dawno, dawno temu w odległej galaktyce*. Czytelnikom zdeorientowanym i zagubionym w uniwersum świata Ursuli K. Le Guin, znajomość sagi George’a Lucasa pozwoli odnaleźć drogę w gęstym lesie. Pokaże na ile – najprawdopodobniej – nie byłoby najgłośniejszego cyklu SF ostatniego trzydziestolecia – „Gwiezdnych wojen”, bez pisarstwa, urodzonej w 1929 r. w Berkeley, autorki „Świata Rocannona”.

Paweł
Chmielewski

PRZYPOMNIJMY KILKA PODSTAWOWYCH cech kosmosu wykreowanego przez Lucasa – wielość planet, ras i gatunków, oparcie historii na podstawowym konflikcie dobra i zła, wykorzystanie kilku, dość kanonicznych mitów, brak chronologii. Upraszczając – klasyczny, epicki świat Ursuli Le Guin – wygląda dość podobnie, lecz w przeciwieństwie do poszczególnych odcinków „Star Wars”, każda z części jej cyklu, czytana osobno, tworzy wrażenie gry sześciocienną kostką, bez wiedzy ile oczek ukrywa pozostałych pięć, niewidocznych boków.

Zebrane w jednym tomie jako „Sześć światów Hain” („Świat Rocannona”, „Planeta wygnania”, „Miasto złudzeń”, „Lewa ręka ciemności”, „Słowo »las« znaczy »świat«”, „Wydziedziczeni”) utatwiają grę w znaczenia, do której zaprasza nas autorka „Ziemiomorza”, ułożenie puzzli kosmicznej konfederacji Ekumeny. Punktem wyjścia jest mityczny chaos (sama autorka wplata w tkanekę narracyjną uwagi o relacji prawdy, mitu i legendy), w którym pogrążone są setki planet. Zasiedlone przez rasę Hain, kiedyś skonfederowane, dziś wrogie. Przez tysiąclecia Liga Wszystkich Światów jednoczy Haińczyków, przywracając im utracone dziedzictwo. Skłócone rasy i planety opanowują stopniowo tajemniczy, „ciemni” (*falszujący myśłomowę*) telepaci Shinga. Mentalny pojedynek Shingi z Ramarrenem-Falkiem w „Mieście złudzeń” jest zapowiedzią starcia Jedi z Sithami w „Star Wars”. Tych nawiązań i zapożyczeń ze strony Lucasa jest znacznie więcej. Tyle tylko, że dzieło Le Guin to epos wyższej próby.

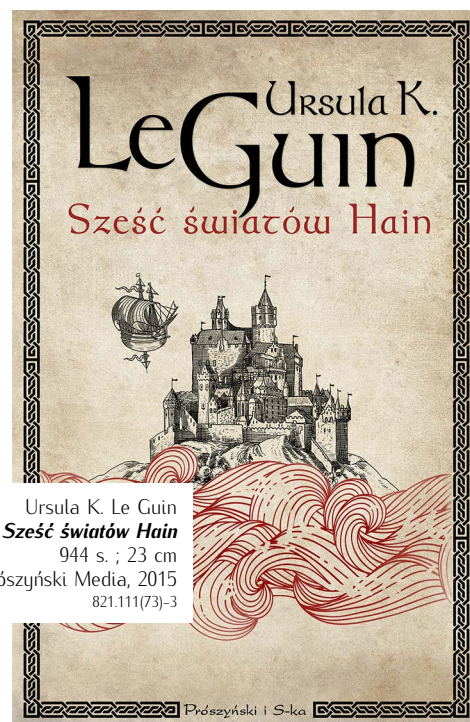
Zacniemy od odysei kosmicznego etnografa Rocannona. Jego wędrówka, ilością napotykanych niebezpieczeństw i odmiennych ras (giganci, skrzydlate hominidy) przywołuje przygody mitycznego władcy Itaki. Oświecenie – symbolizowane przez zdobycie umiejętności telepatii – pozwala mu zjednoczyć mieszkańców Fomalhaut II, nadać wiadomość „ansiblem” i zniszczyć bazę wrogów. Obok motywu walki, wokół którego osnuty jest cały cykl, w „Świecie Rocannona” dominującym jest motyw wędrówki. I powracający wciąż – jako legendarny atrybut – „ansibl”. Dopiero jednak w „Wydziedziczonych” (wydanych jako część szósta, lecz chronologicznie opowiadających, w wielu fragmentach, dzieje najwcześniejsze) dowiadujemy się o jego istocie. To urządzenie pozwalające na międzygalaktyczne podróże i komunikację, konstrukcji genialnego fizyka Szeveka.

Ten tom szósty, to zarazem metaforyczne przedstawienie toposu uwięzienia. Główny bohater (Szevek) podróżując między bliźniaczymi i będącymi w stanie permanentnej wojny, planetami Urras i Anarres, poznaje ustrój korporacyjnego kapitalizmu i anarchicznej „swobody”. Każdy z nich jest tylko „więzieniem idei”, a ich mieszkańcy – bo tak to można interpretować – są niby „ślepcy” zamknięci w mitycznej jaskini Platona.

Le Guin pisząc fantastykę tworzy zarazem komentarz do współczesności. „Lewa ręka ciemności” oraz „Słowo »las« znaczy »świat«” mówią o najważniejszych problemach lat 60. i 70. – tożsamości seksualnej, ekologii i metaforycznie o wojnie wietnamskiej (ta druga książka, jak wypatrzyli uważni widzowie, obecna była nawet w „Full Metal Jacket” Kubricka). W „Słowie...” to Ziemianie kolonizują planetę łagodnych „stworzaków”, eksplorując główne jej bogactwo – drewno, a mieszkańców zamieniając w niewolników. Metody konkwistadorów i bunt poddanych przywołują nie tylko naloty na wietnamską dżunglę, ale i holocaust rdzennych Indian.

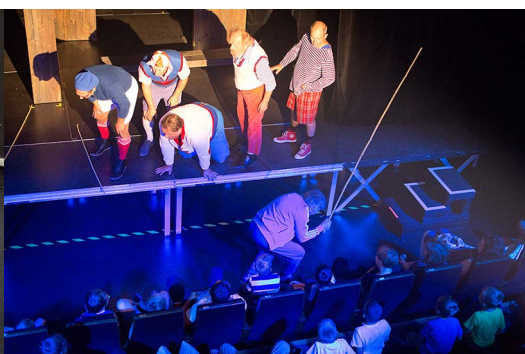
„Lewa ręka...” zbudowana jest wokół mitu o androgyne (ponownie zaczerpniętego z Platona). Mieszkańcy planety Gethen to hermafrodyty, w trakcie godów (zwanych kemmerem), stający się mężczyzną lub kobietą. Le Guin, uwielbiająca żonglerki gatunkami, wariacje narracyjne i stylizacje językowe, tematem podstawowym mitologii Ekumeny (trzech tysięcy narodów na osiemdziesięciu trzech planetach) uczyniła – bardzo współczesne problemy – strach przed tym co obce i kulturowy relatywizm. ■

Czy jesteś Shingą?





Warsztaty filmowe



Spektakl „WAKACJE MIKOŁAJKA”



Warsztaty „PODWÓRKO WYOBRAŹNI”

Sztuką w lenistwo

Agnieszka Kozłowska-Piasta

Leniwy sierpień. Aż się chce pojechać „Rejsem” – A w filmie polskim, proszę pana, to jest tak: nuda... Nic się nie dzieje, proszę pana. Nic. Tak, proszę pana. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje. Na szczęście w Kielcach są tacy, którzy próbują nudę zwalczyć i przegonić. Już po raz II kielecki „Kubuś” zorganizował właśnie w sierpniu Wakacyjny Festiwal Sztuki dla Dzieci Hurra! Art!

TERMIN WYBRANO IDEALNIE. Podczas trzech weekendów sierpnia dzieciaki i ich opiekunowie mieli okazję obejrzeć 21 wydarzeń: 8 spektakli, wziąć udział w 7 różnorodnych warsztatach dla dzieci i rodziców, pokazach filmów, 3 czytaniach sztuk oraz koncercie. Bilety rezerwowano zaraz po ogłoszeniu programu, na niektóre wydarzenia nie można było się dostać. Dodatkowo Kubuś przekazał bezpłatne wejściówki 200 członkom rodzin pozostających pod opieką Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie. We wszystkich wydarzeniach wzięło udział półtora tysiąca osób.

Ciekawie przygotowano także program. – Trafiał w oczekiwania widzów – podsumował dyrektor „Kubusia” Robert Drobniuch. Wiemy to dzięki wpisom na fanpage’u teatru, ankietom rozdawanym widzom po wydarzeniach i naszym rozmowom z odbiorcami – opowiadał na pofestiwalowej konferencji prasowej.

Najszerzą ofertę przygotowano dla najmłodszych odbiorców. Dzieciaki w wieku 1-5 lat mogły poznać słonia Trąbibombi i inne zwierzęta z wierszy Jana Brzechwy, tajemniczego Pana Satie. Obie produkcje przygotował niezależny teatr Atofri z Poznania, specjalizujący się w przedstawieniach dla najmłodszych.

Kameralne i niezwykle działające na zmysły spektakle z muzyką na żywo i towarzyszącą przedstawieniu zabawą spodobały się milusińskim. Nic dziwnego, skoro dostrzeżono je także na najważniejszych polskich przeglądach teatralnych. „Pan Satie” otrzymał Grand Prix na warszawskim XV Międzynarodowym Festiwalu dla Dzieci i Młodzieży Korczak 2011 i Super Babe na festiwalu w Bukareszcie. Najmłodsi od lat 3 poznali historię sympatycznej, choć nieco zbyt okrągłej Lenki, którą opowiedzieli aktorzy z Białegostoku.

Nieco starsi mogli dzięki zabawie dowiedzieć się, ile znaczeń mieści się w słowie „Ojczyzna” w świetnym spektaklu z Teatru Polskiego w Poznaniu. Wybuchy śmiechu – małych i dużych – towarzyszyły kończącemu festiwal przedstawieniu „Wakacje Mikołajka” z Teatru Lalka w Warszawie. Uroczy bohater książek René Gosciniego przeżywał niesamowite przygody na letnim obozie. Jak zwykle okazało się, że nie tylko mali chłopcy są dziecinni. Widzów urzekło doskonałe tempo spektaklu i ciekawe pomysły interpretacyjne: bohaterów czasami odgrywają lalki, a czasami dorośli, wręcz „podtatusiali” aktorzy w dziecięcych strojach. Honory gospodarza imprezy pełnił świetny energetyczny spektakl „Dziadki, dziatki” z kieleckiego „Kubusia” o międzypokoleniowych relacjach i pamięci o najbliższych, którzy odchodzą na zawsze.

Hurra! Art! nie zamyka się tylko do przestrzeni typowo teatralnych. W tym roku taneczną interpretację „Piotrusia i Wilka” aktorzy Grupy Artystycznej Koncentrat pokazali widzom na placu Artystów. Tydzień później Rynek zamienił się w wielki plac zabaw, pełen drewnianych klocków, pluszowych dziwacznych stworów i etnicznych poduszek. To „Podwórko wyobraźni” przygotował kielczanom zespół Muzeum Bajek, Baśni i Opowieści i jego pomysłodawca Michał Malinowski, od lat promujący i doskonalący sztukę ustnych opowieści znanych z Afryki, krajów arabskich czy Indii. Tajniki etnicznych opowieści szef muzeum zdradzał uczestnikom warsztatów „Tworzenia słowem”.

Choć pokazany w przestrzeni teatralnej, to zupełnie nietypowy był spektakl grupy Kolektyw LŁ,



Warsztaty „RODZINNY KOROWÓD”



Warsztaty „WSPOMNIENIA Z WAKACJI”



Czytanie sztuki „A MORZE NIE”

wyprodukowany przez fundację Sztukmistrze i Warsztaty Kultury w Lublinie. „Spektrum” został nazwany spektaklem nowocyrkowym i choć bazą są umiejętności żonglerki czy cyrkowej iluzji, to wykorzystano je w sposób mocno teatralny, ogołacając z tandetności i sztucznego blichtru cyrkowego. Pogoda przeszkodziła przygotowanemu podczas festiwalu koncertowi. Z powodu ulewy zespół Laura Palmer Cover Story Dzieciom wystąpił nie na dużej scenie kieleckiego Rynku, ale w sali „Kubusia”.

Dzięki współpracy Hurra! Art! z organizatorami uznanego festiwalu filmowego „Złote Mrówkojady” w Lublinie, przygotowano w tym roku dwie projekcje filmów dla dzieci. Animacje, fabuły zgrupowano w bloki tematyczne: „Dom”, „Przyjaźń”, a każdemu pokazowi towarzyszyły warsztaty teatralne prowadzone przez pedagoga teatru Justynę Czarnotę, szefa działu Pedagogiki Teatru Instytutu Teatralnego im. Raszewskiego.

Nie od dziś wiadomo, że dzieci, aby coś zapamiętać, muszą to nie tylko zobaczyć, ale przeżyć i poczuć. Teatr jako miejsce, gdzie tylko prezentuje się spektakle już dawno odszedł do lamusa, a kielecki „Kubuś” nie lekceważy tych trendów. Pewnie dlatego Hurra! Art! penetruje nowe kulturalne przestrzenie, szukając w nich najbardziej odpowiedniego miejsca dla najmłodszych. W tym roku w ofercie warsztatowej

znalazły się taneczne zajęcia „Rodzinny korowód!” prowadzone przez tancerkę, performerkę i choreografkę Magdalenę Jędrę, oraz cyrkowe zajęcia Pauliny Chodnickiej pracującej m.in. w społecznym cyrku Cabuwazi w Berlinie. Całość oferty uzupełniały czytania sztuk dla najmłodszych. „Udramatyzowane” i podreżyserowane dają maluchom szansę zapoznania się z nową literaturą dla dzieci.

Dodatkowo na czas festiwalu sensorycznie i wyjątkowo „przebrano” także siedzibę teatru i, a zwłaszcza hol, który lata świetności już dawno ma za sobą. Tablice pełne skrawków materiałów, guzików, szeleszczące, mieniące się w słońcu kotary sprawiały, że nawet wejście do budynku podczas trwania festiwalu było naprawdę wielką edukacyjną przygodą.

Idealny termin, świetny repertuar, coraz więcej odbiorców i nowoczesny, głęboko przemyślany program, zamysł i idea festiwalu, wsparcie wyjątkowych specjalistów – o tych wszystkich plusach pisałam już rok temu podczas pierwszej edycji Hurra! Art! Za nami już druga, dofinansowana przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i nasze lokalne władze, co dobrze wróży kolejnym edycjom. Oby było ich jak najwięcej, a za przykładem „Kubusia” poszły inne instytucje kultury, szukając wartościową, wyjątkową wakacyjną ofertę. ■

**Na szczęście
w Kielcach są
tacy, którzy
próbują nudę
zwalczyć
i przegonić.**



Czytanie „SZTUKI BEZ BABCI”



Spektakl „PIOTRUŚ I WILK. REINTERPRETACJA”



Spektakl „PAN SATIE”

MODEL HUTNICZEGO PIECA DONICOWEGO
SŁUŻĄCEGO DO WYTÓPU SZKŁA
Własność Muzeum Historii Kielc



Plansze, postaci, mapy, mundury, guziki...

zapewniająca dwuletnie wykształcenie matematyczno-fizyczne. Odmiennej drogę wybrały kraje niemieckojęzyczne (Niemcy, Austria i Szwajcaria), które zaczęły organizować politechniki integrujące całość wiedzy technicznej na wzór uniwersytetów. Brytyjczycy z kolei byli zwolennikami kształcenia praktycznego. Z tego europejskiego kontekstu wynikały też wzorce i wahania w budowie systemu oświaty technicznej w Polsce.

Początki kształcenia i szkolnictwa górniczo-hutniczego związane były z aktywnością króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Stypendystów królewskich studiujących nauki mineralogii i metalurgii wysyłano do akademii górniczych w Schemnitz i Freibergu. Wyśiłki te i osiągnięcia zostały zniweczone przez utratę niepodległości, ale program i postulaty zostały podjęte na nowo w epoce Królestwa Polskiego.

Kolejną przesłanką nadająca kierunek ewolucji szkolnictwa górniczo-hutniczego w Polsce była dominacja w kręgach naukowych poglądów uczonego geologa z saskiego Freiberga – Abrahama Gottloba Wernera. Do zwolenników jego teorii należał również Stanisław Staszic. Te czynniki, a także bliskość geograficzna, kulturalna oraz ścisłe związki polityczne, w tym unia personalna w okresie Księstwa Warszawskiego, powodowały przenoszenie wzorców oświatowych z tego kraju.

Gdy w 1809 r. Kraków przyłączono do Księstwa Warszawskiego, Staszic zajął się reformą tamtejszego uniwersytetu. Proponował utworzenie katedry górnictwa i z myślą o jej obsadzeniu wystąpił w 1809 r. na studia

Piotr Kardyś

W gmachu Muzeum Historii Kielc można obejrzeć próbę ciekawego zapisu dawnej rzeczywistości politechniczno-edukacyjnej, która wykreowała w dużym stopniu miasto, jako ośrodek przemysłowy. To ekspozycja zatytułowana „Akademia Górnicza w Kielcach”, opisująca dzieje szkoły, której początki należy datować na rok 1816.

W EUROPIE, NIEZALEŻNIE od ewolucji szkół wojskowych, powstawały wyspecjalizowane szkoły inżynierii cywilnej, dla których wzorem stała się założona w 1747 r. francuska Szkoła Budowy Dróg i Mostów (École des Ponts et Chaussées). W tym czasie w Brunszwiku została otwarta Akademia Górnicza (1745). W ślad za nią powstały tego typu uczelnie we Freibergu w Saksonii (1765), Schemnitz (1770) (obecnie Bańska Szczawnica na Słowacji), Clausthal, Petersburgu (1775) i Paryżu (1778).

Inną, bardziej uniwersalną drogę rozwojową reprezentowały szkoły politechniczne, jak pierwsza na świecie politechnika, założona w 1795 r. (École Polytechnique),



ŚW. ROCH PUSTELNIK, XIX w.
Własność Muzeum Historii Kielc



Fot. Tomasz Kozłowski

Czy Kielce, jako miasto i centrum przemysłowe dla regionu świętokrzyskiego „narodziły” się wraz z Akademią Górniczą?

do Freiberga i Paryża stypendystę rządowego Józefa Tomaszewskiego, którym zamierzał obsadzić katedrę mineralogii i geognozji (geologii złóż) na uniwersytecie. Później – już w 1816 r. zatrudnił go w Szkole Akademiczno-Górniczej w Kielcach. Decyzje władz Królestwa Polskiego z 20 lutego 1816 r. o ustanowieniu w Kielcach Głównej Dyrekcji Górniczej i z 4 czerwca tego roku o powołaniu przy niej Szkoły Akademiczno-Górniczej określały zarazem kryteria jej prowadzenia. Zadaniem Dyrekcji było nadzorowanie prowadzonych w Górach Świętokrzyskich wszystkich robót górniczych i hutniczych. Najważniejszą przesłanką było położenie Kielc. Według Staszica instytucje zarządzające powinny znajdować się w centrum ówczesnego największego regionu górniczo-hutniczego na ziemiach polskich, czyli w Górach Świętokrzyskich – Staropolskim Okręgu Przemysłowym. Nazwę – Akademia Górnicza, wzory organizacyjne, programowe, jak również kadrę zaczerpnięto z Freiberga w Saksonii. Rozpoczęła działalność w grudniu 1816 r., zaledwie po paru miesiącach przygotowań organizacyjnych, jako pierwsza w Polsce wyższa szkoła o profilu technicznym i przyrodniczym.

Skutki tych decyzji widoczne są dla każdego, kto pokusi się o pójście do Muzeum Historii Kielc. Rozbudowa miasta, powstanie elity technicznej wyższego i średniego szczebla, powstanie nowych ośrodków przemysłowych w regionie świętokrzyskim oraz rozbudowa i modernizacja starych. Jakie przełożenie miało to na przyszłość? Wystarczy wspomnieć takie zakłady, jak fabryka pomp w Białogonie czy SHL, a to przecież nie wszystkie, jedynie najbardziej znaczące i znane.

Szkoła działała krótko – tylko do 1826 r., ale jej ranga i znaczenie były nie do przecenienia. Absolwentów akademii, szczególnie według obecnych kryteriów, nie było wielu. W ciągu tak krótkiego czasu studiowało tam ok. 100 elewów, ukończyło ją „tylko” ok. 40-45. Jednak wykształciła kadry najlepszych polskich inżynierów górniczych i metalurgów, zarządzających polskim przemysłem do końca XIX w. Byli to m.in. Jerzy Cieszkowski, Antoni Klimkiewicz, Wojciech Krygier, Jacek Lipski, Józef Skalski i inni.

Konsultanci wystawy, prof. J. Szczepański i dr J. Głowka oraz autor B. Tambor zadbali, by zwiedzający mogli zapoznać się z historią przemysłu górniczo-hutniczego na ziemiach polskich, w Kielcach i w Górach Świętokrzyskich, dowiedzieli się o najważniejszych postaciach związanych z kielecką „politechniką” z pocz. XIX wieku, obejrzeliby makiety zakładów hutniczych, pamiątki związane z górnikami rudy żelaza i hutnikami. Zastosowano przy tym jedyną, czytelną w takim przypadku zasadę ekspozycyjną, tj. chronologiczną.

Czy Kielce, jako miasto i centrum przemysłowe dla regionu świętokrzyskiego „narodziły” się wraz z Akademią Górniczą? Odpowiedź na to pytanie może znaleźć Ci, którzy popatują się obejrzyć wystawę czasową w MHK. Na pewno zaś wiele z historii miasta i regionu oraz jego uprzemysłowienia stanie się dla nich oczywiste, i bardziej wyraziste.■

* w tekście wykorzystano informacje z plansz wystawy czasowej oraz z przygotowywanego do druku artykułu prof. J. Szczepańskiego, *Szkołnictwo górniczo-hutnicze w Królestwie Polskim w XIX w.*, Rocznik O/PTH w Skarżysku-Kamiennej, 7/2016.

Sześć dni z komisarzem Bujnickim

Artur Baniewicz
Pięć dni ze swastyką
 653 s. ; 21 cm

Kraków : Znak Horyzont – Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 2016
 821.162.1-3

MYŚLĘ, ŻE SPECYFIKA utworu, napisanego przez autora znanego dotychczas czytelnikom literatury fantasy, zaczyna się już od samego początku. Wszystko rozpoczyna się jesienią 1942 r. od zabójstwa, które na zlecenie wykonuje Paweł Bujnicki – były komisarz policji. Po lekturze pierwszej partii książki wydaje się, że on będzie tutaj poszukiwanym zabójcą. Nic jednak bardziej mylnego. Narrator wodzi czytelnika, przeskakuje z miejsca na miejsce (ogromne partie utworu rozgrywają się m.in. w regionie świętokrzyskim) po różnych wątkach. W końcu wraca do głównego bohatera i okazuje się, że Bujnicki został odnaleziony przez niemieckiego żandarma Bruna. Wgląda to na zakończenie, jednak tak naprawdę to dopiero początek...

Paweł Bujnicki ma przeprowadzić śledztwo z podwójnym dnem. Irena Skowrońska – jego dawna znajoma, w której wciąż jest zakochany, prosi go o pomoc w odnalezieniu mordercy młodego Klausa. Choć tak naprawdę kobieta chce dowiedzieć się, kto i dlaczego próbował ją zabić. Motywów może być sporo, najistotniejszy to romans z Brunem, co w realiach okupowanej Polski jest traktowane jak zdrada. Wyjaśnia się tytuł kryminału, który odnosi się do Pawła Bujnickiego, współpracującego z niemieckimi żandarmami. Śledztwo nie ma jednak oficjalnego charakteru, stąd też Paweł ma tylko pięć dni (tyle można ukrywać śmierć Klausa przed przełożonymi).

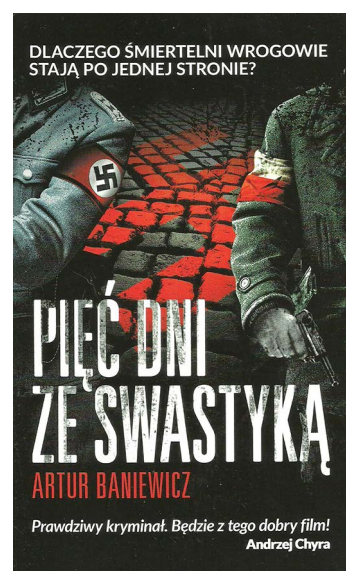
Nie będę tutaj zdradzał przebiegu śledztwa. Jest ono dynamiczne, krąg podejrzanych raz się zmniejsza, a raz powiększa. Dzięki temu coraz bardziej ciekawi nas, kto okaże się mordercą... Bujnicki sprawdza każdy trop. Czasami błądzi, innym razem idzie do przodu. Nie brakuje strzelanin. Wobec przestuchiwanych stosuje metodę „rosyjskiej ruletki”, która zmiękcza najtwardszego. W efekcie intensywnej pracy odkrywa tożsamość zabójcy, choć nie wszystkie szczegóły zostają odkryte, niczym w prawdziwym śledztwie.

Nie sama kryminalna fabuła jest ważna w powieści Baniewicza. Prowadzone śledztwo łączy się z wątkiem miłosnym, działalnością partyzancką oraz losem Żydów w okupowanej Polsce. Czytelnik oprócz obserwacji prowadzonego śledztwa ma też możliwość oceny bohaterów i ich postępowania, przemyśleń nad kwestiami społecznymi i gdybania nad... otwartym zakończeniem.

Dominik Borowski

Kryminał to gatunek literacki o określonym schemacie fabularnym. Musi być morderstwo, którego skutkiem jest prowadzone śledztwo. To tutaj autor może uwieść czytelnika, stopniowo pobudzając jego zainteresowanie i włączając go w tok prowadzonego dochodzenia. Wszystko powinno zostać zamknięte finałem, w którym ujawnia się mordercę i wyjaśnia okoliczności zbrodni. Powieść Artura Baniewicza ma skończyć się inaczej: *Tak bywa w śledztwie (...)* Coś wiesz, czegoś nie, nigdy nie jest jak w książce, że cała prawda wychodzi na jaw (s. 543). Czy to jest kryminał inny od wszystkich?

Musi
być
morderstwo,
którego
skutkiem
jest
prowadzone
śledztwo



Choć nie przepadam za książkami historycznymi, to „Pięć dni ze swastyką” czytałem z rosnącym zainteresowaniem. Czas spędzony z Pawłem Bujnickim był niezapomnianym przeżyciem, które żał kończyć. Myślę, że książka przypadnie do gustu nie tylko miłośnikom kryminałów i historii wojennych. ■

Jedzie ciuchcia z daleka...

Bartosz Kozak
Zagnańskie kolejki wąskotorowe
 189 s. ; 30 cm
 Kielce : Agencja JP, 2016
 625.3

Piotr Kardyś

Po zakończeniu likwidacji kolejki, w 1978 roku, w OTL Zagnańsk odbyła się uroczystość, podczas której wyróżniono szczególnie zasłużonych pracowników wąskotorówki.



DRUGIE WYDANIE „zagnańskich wąskotorówek” skłania do bliższego przyjrzenia się zgromadzonemu w książce Bartosza Kozaka materiałowi źródłowemu i opartej na nim narracji. Podstawę stanowią materiały archiwalne pozostałe po Ośrodku Transportu Leśnego w Zagnańsku, liczne dokumenty kartograficzne, zasoby

Kolejka wąskotorowa, to zjawisko nie tylko przemysłowe, ale też socjologiczne.

internetowe, czasopisma, opracowania niepublikowane, wreszcie typowe dla tego typu rozważań źródła wywołane, w tym konkretnym przypadku relacje dawnych pracowników kolejek wąskotorowych.

Warto już w tym miejscu wskazać podstawowe zalety tej publikacji. Przede wszystkim fakt kompletnej prospekcji terenowej i odtworzenie dawnych tras znanych ze źródeł czy rozkładów. To już olbrzymie wyzwanie zwłaszcza, jeśli uświadomimy sobie, iż ostatni „parowozik” przestał jeździć trzydzieści osiem lat temu. Dodać jeszcze do tego należy fakt podjęcia próby kompleksowego opracowania kolejek wąskotorowych, jako zjawiska nie tylko przemysłowego, ale też socjologicznego. Przeczytamy zatem o transporcie drzewa, rudy, kamienia, ale też transporcie pracowników okolicznych zakładów i wizytach turystów, zwiedzających ostoje leśne, udających się na zbiór grzybów i jagód. Sporo też w książce informacji o roli transportu wąskotorowego w okresie I i II wojny światowej, wykorzystywanego przez okupantów – austro-węgierskiego i niemieckiego do grabieży polskich lasów, ale też o działalności partyzanckiej, zaopatrywaniu okolicznych miejscowości w przewożoną nielegalnie żywność, życiu codziennym w osiedlach pracowniczych.

Szczególną uwagę zwraca jednak materiał ilustracyjny, wyróżniają się zdjęcia dawnych parowozów, nietypowych, przebudowanych na konkretne potrzeby wagonów, drewnianych mostów na wzór tych z „Dzikiego Zachodu”, wreszcie ledwie widocznych w leśnym krajobrazie przepustów i przyczółków mostowych oraz informacje o kolejkach konnych.

Z pewnością wielu mieszkańców Kielc i okolic z przyjemnością sięgnie po lekturę „wąskotorówek” zwłaszcza, iż często przemierzając się po okolicy nie zdają sobie sprawy, że wędrują lub jadą rowerem po dawnym nasypie kolejowym. Jedynym mankamentem pracy jest bardzo „nietypowy” sposób konstruowania przypisów, ale to już uroki prac historyków amatorów. Całość została uzupełniona o kalendarium 1915-1978, wykaz źródeł i literatury. ■

Śmierć jest bramą życia

Adam Organisty

„Wszedłszy do kościółka, zdumiałam się, widząc wszędzie oznaki gorącości ducha, jaką Pan był ten nowy dom nappełnił: wszędy na ścianach same tylko krzyże albo trupie głowy” – tymi słowami opisywała św. Teresa od Jezusa wrażenia z wizyty w jednym z pierwszych kościołów, zreformowanych dzięki zaangażowaniu jej i św. Jana od Krzyża. Owe „trupie głowy” wypełniają właśnie wnętrze Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach, a ich przedstawienia malował autor, któremu przyświecała nie mniejsza „gorącość ducha”, aby zwrócić odbiorcy uwagę, że „śmierć jest bramą życia” (*mors ianua vitae*).



VANITAS? CREDO, SPERO, DILIGO, olej na płótnie, 2009

SPOŚRÓD prezentowanych w „Domu Praczek” prac malarskich – na wystawie „Satis verborum. Obrazy rysunki” – najsilniej zapadają bowiem w pamięci martwe natury wanitatywne, przypominające o przestaniu biblijnego wersetu „Marność nad marnościami i wszystko marność” (*Vanitas vanitatum et omnia Vanitas*) (Koh 1, 2; 12, 8). Od czasów starożytnych kompozycje wanitatywne, także przedstawienia określone dzisiaj mianem natury martwej, miały być dostojnie „martwe”, wprowadzając odbiorcę w swoisty niepokój, skłaniający ku refleksji nad przemijaniem. Ich autorem jest jeden z najwybitniejszych malarzy polskich, Maciej Bieniasz (ur. 1938).

Maciej Bieniasz jest współzałożycielem grupy Wprost, działającej w latach 1966–1986, a w latach 1974–2009 był pedagogiem Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach oraz w latach 1996–1999 w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Jest laureatem wielu prestiżowych wyróżnień, m.in. nagrody Krytyki Artystycznej im. C.K. Norwida (1967), nagrody Kultury Niezależnej „Solidarność” (1987), Ministra Kultury i Sztuki (1994) oraz nagrody im. W. Korfańskiego (1998). Bieniasz jest członkiem Archidiecezjalnej Komisji Sztuki Sakralnej w Katowicach oraz autorem szeregu dekoracji malarskich w świątyniach

wizerunek Hioba czy szkice Golgoty, powstałe na kanwie ilustracji do *Mistrza i Matgorzaty* Buthakowa. Na ekspozycji dominują jednak martwe natury wanitatywne oraz niemal sto rysunków malarza, nazywanego przez przyjaciół z grupy Wprost „ekspertem od Starego i Nowego Testamentu”².

W martwych naturach ze wszechogarniającą wymową wanitatywną – głoszącą marność i krótkotrwałość dóbr tego świata – malarz wprowadził skodyfikowane w sztuce nowożytnej symbole, zachęcając w ten sposób odbiorcę do odkodowywania ich znaczeń. Jak wspomniano, w większości kompozycji odnajdujemy czaszki ludzkie (*memento mori*). Niejednokrotnie towarzyszą im warzywa z pędami (ziemniaki, cebula). Czaszki z wyrastającymi z nich kłosaми są emblematem oznaczającym zapoczątkowanie śmiercią

życie wieczne. Czaszka zestawiona z przedmiotami będącymi domeną rozrywki (*vita voluptaria*) przestrzega przed korzystaniem ze zmysłowych uciech doczesnych, sygnalizowanych kartami, szachami. Czaszka obok skrzypiec zdaje się zaś mówić, że życie przemija tak szybko, jak dźwięki muzyki. Spoczywające na przedmiotach muchy, przypominają, że w proch obrócić je insekty. Do symboli tradycyjnych należy jeszcze cytryna – piękny z zewnątrz a cierpki po skosztowaniu owoc, kojarzony z emblematem fałszywej przyjaźni (*amicus fictus*). Cytryna ma natomiast inne znaczenie w dyptyku odnoszącym się do Świętej Rodziny: jak w judaizmie, jest tu symbolem czystości. Odwołują się do niej też lilie – z pełnymi kielichami kwiatów w *Vanitas dla Józefa* i zwiędte w *Vanitas w Efezie*. Zarówno tytuł drugiego z obrazów, jak i umieszczone na blacie lustro, odbijające niebo, przywołują Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny.

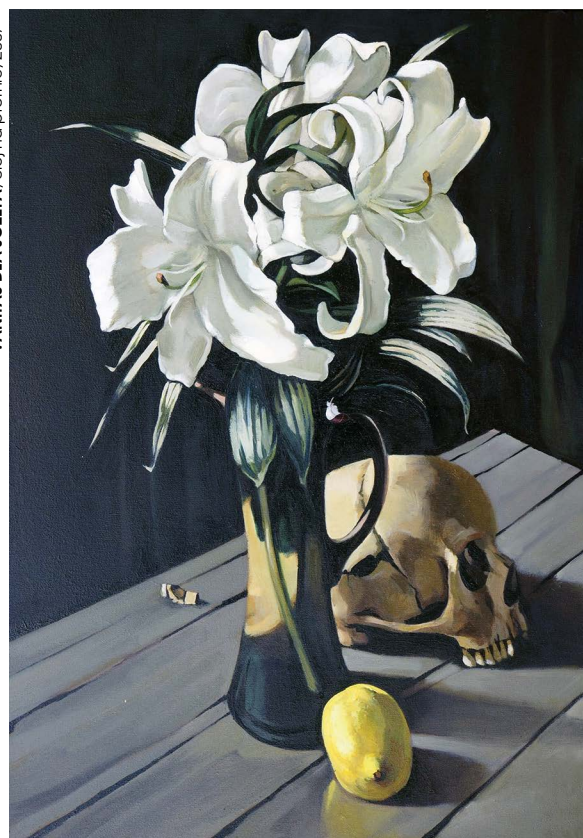


VANITAS W EFEZIE, olej na płótnie, 2007

Fot. z archiwum „Domu Praczek”



CISZA, olej na płótnie, 2009



VANITAS DLA JÓZEFA, olej na płótnie, 2007

Niejednokrotnie malarz opowiada o sobie za pomocą otaczających go przedmiotów, które mają szyfr osobisty. O medytacji nad jego działalnością spoteczną (*vita practica*) i jej pozorami świadczą kompozycje przedstawiające czaszki zestawione z malarskimi utensyliami (*ars brevis*). W wybranych obrazach wymowę wanitatywnych motywów wzmacniają namalowane obok sentencje. W wyszukanej kształtem, przypominającej barokowe obramienia *Vanitas z napisem* odnajdujemy m.in. czaszkę, wyłęczony telefon komórkowy, w tle zaś napis: *Quidquid vides / currit cum tempore* (cokolwiek widzisz, upływa z czasem). Wprowadzane przez malarza motywy odnoszą się także do bliskich mu osób (cykl *Placek Miriam*). Po śmierci żony powstał wzmiankowa-

w kontekście tytułu – fragment różańca.

Wystawę dopełnia pokazana ilość eksponowanych po raz pierwszy, wyjątkowych rysunków. Są one wyjątkowe z kilku powodów. Artysta niejako wymaga od siebie wykonania kilku prac dziennie, co w efekcie przynosi zarówno obraz otaczającej rzeczywistości, jak i osiągnięte żmudną pracą wyrafinowa-

ne w kresce arcydzieła. W takiej metodzie pracy odnaleźć można zarówno echo antycznej dewizy, łączonej z malarzem greckim Apellesem (*Nulla dies sine linea* – ani jednego dnia bez kreski), jak i wyraz szacunku dla praktyki pedagogicznej, przejętej jeszcze od nauczyciela Bieniasza, malarza Adama Hoffmanna, który zachęcał do prowadzenia szkicownika traktowanego jako dziennik. Bieniasz uczynił mottem dla swoich szkiców aforyzm S.J. Leca: „Czyste intencje autora znajdziesz w jego brudnopisach”, dodając jednocześnie, że jego „brulion, notatnik, szkicownik” jest „sposobem na życie”. Prace Bieniasza, lawowane w temperze bądź wykonane w ostatnich latach – pomimo kłopotów ze wzrokiem – cieniowaniem, przedstawiają przejmujące sceny ze szpitala, studia okaleczonych dłoni, uschniętych roślin, czy też rozkrojone owoce, ukazujące wnętrza wypełnione pestkami, winne grona, chleb, kielich, atrybuty pielgrzymy do Santiago de Compostela, które mają chrześcijańskie przesłanie. Dopełniają je subtelne akwarele z widokami krajo-
brazów, dające wrażenie dużej swobody i malarskości. Przebijają przez nie zachwyty artysty dla studiowanego świata.

ny cykl przedstawiający ziemniaki. Po wielu miesiącach wypuściły one pędy, dlatego obrazy otrzymały tytuł *Viva la vida*, gdyż – jak mówi malarz – „walczyły o życie”. W większości jednak widz ma do czynienia z tradycyjną symboliką, jak w opracowywanym przez lata cyklu *Źródła światła*, ukazującym zgasszone elektryczne latarki, świece, zapalniczki, z których wyłania się – mający znaczenie

„Sztuka zawsze jest rodzajem lustra” – czytamy wyznanie Bieniasza w folderze kieleckiej wystawy⁵. Dla tej ekspozycji wymownym lustrem jest plakat z obrazem zatytułowanym *Co widzisz – co wiesz*. Przedstawia on dłonie malarza trzymającego uniesioną do góry, widzianą pod światło ludzką czaszkę. Jakby starał się za Tomaszem à Kempis przemawiać do widza: „Naucz się przed śmiercią umierać, by nadchodząca śmierć nie przerażała cię, ale była bramą życia”. W tytule kieleckiej wystawy odnajdujemy tacińskie wyrażenie przystawione: „Mądreemu dosyć nadmienić” (*Sapienti sat est, Sapienti satis*). Obraz na plakacie wymownie wtóruje wypowiedzi artysty: „*Satis verborum* – mawiali Rzymianie. Dość słów. Dzisiaj zapraszamy przed te niewielkie, czarno-białe lusterka. To fragmenty mojego świata; może będą potrafiły powiedzieć coś innego...”⁶.

¹ Św. Teresa od Jezusa, *Dzieła*, tom II: *Druga doskonałość. Twierdza wewnętrzna. Księga fundacji*, tłum. H.P. Kossowski, Kraków 1987, s. 542-543.

² „Katowice są moim miastem”. Z Maciejem Bieniaszem rozmawia Małgorzata Kitowska-Lysiak, [w:] *Świat przedstawiony? O grupie „Wprost”*, oprac. Małgorzata Kitowska-Lysiak, Lublin 2006 (w serii: *Sztuka nowa. Źródła i komentarze*, red. Małgorzata Kitowska-Lysiak, Marcin Lachowski, t. III), s. 122. Obrazy Bieniasza z czasu jego działalności w grupie Wprost, w tym tak podręcznikowe dzieła w cyklach *Marzec 1968*, *Portret miasta*, *Skrzynki pocztowe*, zobaczyć można na wystawie *Wprost 1966-1986* w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie w dn. 10.09.-31.12.2016 r.

³ Cyt. za: Mieczysław Szewczuk, *O Macieju Bieniaszu*, [w:] *Maciej Bieniasz. Tu byłem / I Was Here*, katalog wystawy, Galeria Rondo Sztuki, Katowice, 22.09.-17.10. 2010, red. Andrzej Tobis, Katowice 2010, s. 13.

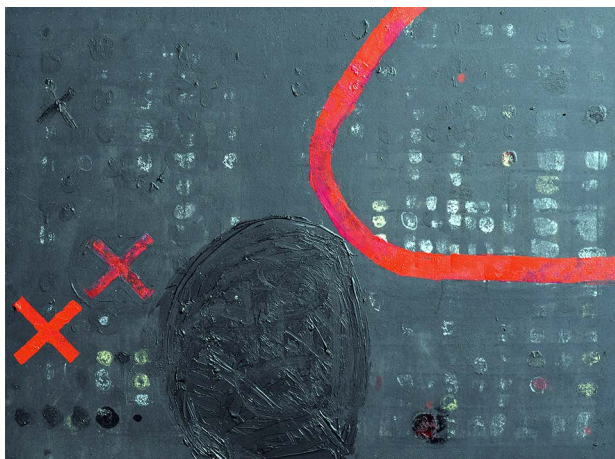
⁴ *Maciej Bieniasz. Rysunki, szkice, notatki*, katalog wystawy, oprac. Jerzy Fober, Galeria Uniwersytecka, styczeń, Cieszyń 1999; *Maciej Bieniasz. Sto + jeden [wokół „Mistrza i Małgorzaty” M. Bułhakowa]*, katalog wystawy, oprac. Piotr Zieliński, Wyrdarz Galeria Sztuki Szkoty Biznesu – Szkoty Wyższej, listopad – grudzień 2003, [Lublin 2003].

⁵ *Maciej Bieniasz. Satis verborum. Obrazy, rysunki*, folder wystawy, oprac. Agnieszka Orłowska, Galeria Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach, wrzesień 2016, Kielce 2016.

⁶ Cyt. za: *Maciej Bieniasz. Rysunek*, katalog wystawy, Biuro wystaw Artystycznych w Zamościu, marzec 1999, Warszawa 1999; por. *Maciej Bieniasz. Satis verborum. Obrazy, rysunki*, folder wystawy, oprac. Agnieszka Orłowska, Galeria Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach, wrzesień 2016, Kielce 2016.

Małgorzata Bielecka

W galerii Związku Polskich Artystów Plastyków „Tycjan” w Kielcach można było oglądać oryginalne malarstwo Oliwii Hildebrandt, absolwentki wychowania plastycznego Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, obecnie doktorantki ISP UJK.



CYKL „UKŁADY I ODNIESIENIA”, zarazem tytuł indywidualnej wystawy prezentuje twórczość dojrzałą, okrzepłą w wymagającym warsztacie tradycyjnej grafiki. Takie refleksje budzą prace powstałe najwcześniej, a otwierające wspomniany już cykl. Jednakże przyjmując odwrotny kierunek, a zatem rozpoczynając zwiedzanie od końca, zauważamy dominację wartości czysto malarskich.

Oliwia Hildebrandt niejednokrotnie ujawniała potrzebę rozszerzenia horyzontów własnej sztuki i osadzonej w realiach graficznego warsztatu strategii. Powody chyba znamy. Wymagania techniki linorytu nakładały gorset wielorakich ograniczeń, trudnych do zaakceptowania przez artystkę. Tym jednak razem, wyraźnie widać, że skończył się czas deklarowania zamierzeń i potwierdzania gotowości otwarcia na zmiany. Proces ów ruszył, rozkręca się, nabiera tempa, materializuje się. Jego efekty rozpoznajemy w szerokich plamach kolorów, panoszących się na płaszczyznach eksponowanych na wystawie obrazów. O nim mówi zgrubiona tkanka zastygłej farby, sfatdowana materia modelowana przez światło. Te zwłaszcza, ale również i szereg innych przykładów sygnalizuje zmiany marszrutę twórczego rozwoju. Artystka z właściwym sobie entuzjazmem, z dziecięcą wręcz ciekawością, zaczyna zgłębiać niezwykle płodny twórczo obszar pogranicza malarstwa i grafiki, drąży możliwości przenikających się dyscyplin

O czym mówią obrazy Oliwii Hildebrandt? Jakie treści kryją wtopione w skorupy czarnych płaszczyzn



ostatnich dzieł enigmatyczne znaki i symbole? I dlaczego jedynie: agrafki, pineski, igły, ostrza nożyc, zobrazowano z taką wiernością, że niemal odczuwamy dotkliwość uktucia. Spośród wielu innych pytań, to właśnie zdaje się szczególnie intrygujące, zwłaszcza jeżeli uświadomimy sobie, że naturze autorki obca jest odwrotność mimetyzmu i wszelkie inne nurty i tendencje plastyki, których twórcy – świadomie lub z nieuctwa – mylą pojęcie obrazu-dzieła z obrazem-produktem.

Prezentowana w „Tycjanie” wystawa dowodzi, że Oliwia Hildebrandt właśnie odkryła własny poligon badawczy. Sądzę, ułatwi to jej koncentrację na wewnętrznym świecie swoich przemyśleń i doznań i jego odbiciu w indywidualnie ukonstytuowanym, plastycznym porządku.



Fot. Oliwia Hildebrandt

pineski, igły, ostrza nożyc, zobrazowano z taką wiernością, że niemal odczuwamy dotkliwość uktucia

spalony obiekt elementem autorskiego wyrazu

Humanoidy z siatki

Marta Trechowska

**W Galerii Sztuki Współczesnej
Domu Środowisk Twórczych
w Kielcach zorganizowano wystawę
„Śmiertelni – Nieśmiertelni”,
pochodzącego z Warszawy
Sławomira Golonko.**



AUTOR JEST ABSOLWENTEM Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Zajmuje się scenografią, pracował m.in. przy telewizyjnym serialu „Ojciec Mateusz”, rzeźbą i performancem.

W galerii DŚT zaprezentował szereg rzeźb i płaskorzeźb z siatki drucianej ukazujących istoty humanoidalne, zaś w ogrodzie przypałacowym, po zmroku happening (przypominający działania Władysława Hasiora), podczas którego, podpalając kolejne rzeźby-instalacje, ukazywał w sposób symboliczny, ale i dosłowny ich nietrwałość.

W zapowiedzi wystawy, autorstwa Krzysztofa Wasilewskiego, mogliśmy przeczytać o pracach Sławomira Golonko: *Jego obiekty wykonane z metalowej siatki są ascetyczne i zarazem monumentalne w formie. Wszystkie prace przybierają humanoidalny kształt podejmując temat „kondycji ludzkiej”. (...) Artysta wprowadza do swoich wystaw, elementy współczesnego autorskiego wyrazu. Jego happeningi ze spalaniem humanoida czy environment, wykorzystuje przestrzeń, prawie transparentność prac, zmusza do relacji odbiorca-dzieło.*



Fot. z archiwum Domu Środowisk Twórczych

Agata Suszczyńska

Ciężkie jak piórko

Druga połowa wakacji w kieleckim Biurze Wystaw Artystycznych to trzy wystawy. Dwie indywidualne: Bartłomieja Jarmolińskiego i Mateusza Kaczmarczyka oraz jedna zbiorowa: „Triennale z martwą naturą – Sieradz 2015”.

AUTOR PIERWSZEJ, ROCZNIK 75, jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, obecnie doktorantem na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach. Na swoim koncie ma wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych. W swojej twórczości sięga po różne techniki artystyczne: malarstwo, film, fotomontaż, okazjonalnie performance. Tematy również porusza przeróżne, lecz wybiera je raczej ze zbioru społeczno-kulturowego, co czyni go tzw. twórcą zaangażowanym.

„Układ limbiczny” to tytuł prezentowanej w Kielcach wystawy. Podzielona została na dwie części. W pierwszej sali można było obejrzeć cykl fotomontaży „Uwarunkowania genetyczne”, na których autor umieścił się razem z wybitnym polskim malarzem – Jackiem Malczewskim oraz film „Symbolika wizerunków własnych Jacka Malczewskiego”. Okazuje się,



„POLSKI EXPORT” (2010-2015)

że obaj urodzili się czternastego lipca i w twórczości obu malarzy ważnym elementem plastycznej ekspresji jest ich własna twarz. W drugiej sali właściwie nie było żadnego dzieła, na którym nie widniała by twarz Bartłomieja Jarmolińskiego. Znalazły się tam filmy video,

na których artysta/aktor m.in. myje zęby, a potem przesyła oglądającemu buziaka („Reakcja 1” 2016), przykleja sobie gazetę do głowy, zmywa z klatki piersiowej odznaczenie honorowe („Gloria Artis” 2016) czy wstydzi się bardzo..., nie do końca wiadomo czego („Wstyd” 2010). Na obrazach twarz Jarmolińskiego znowu daje buziaka lub pokazuje język (cykl „Re-akcja” 2007), albo wykrzywia się w jakiś grymasach, bo mu za ciasno (cykl „Klaustrofobia” 2008), albo jest przetworzona w twarze innych mężczyzn, którzy zapisali się na kartach światowej historii („Mikroekonometria męska” 2015).

Druki cyfrowe to znowu Jarmoliński z brodą, bez brody, w blond peruce i z umalowanymi na czerwono ustami („Confessions after hours” 2016), Jarmoliński na okładkach czasopism („Polski eksport” 2010-2015), czy



„REAKCJA 1” (2015)

Jarmoliński bez nikabu i w nikabie. Słucham, oglądam, czytam... mówią, że to wystawa o kryzysie męskich wartości w świecie zdominowanym przez kobiety. Sam autor mówi o kryzysie męskości, bo mężczyzna nie jest postacią pierwszoplanową, ale staje się partnerem dla kobiety (wypowiedź dla TVP 3) ... Naprawdę?

Piszą, że wystawa niepokoi i prowokuje, aby zastanowić się nad samym sobą. I mnie to wszystko jakoś drażni, jak mucha latająca w pokoju. Drażni mnie znowu rozdźwięk między tym co widać, a tym co niby w tej sztuce jest zakodowane. Drażni mnie zachwyt nad niebywałym artyzmem, którego ja nie dostrzegam. Drażni mnie ciężar, który dodaje się wystawie, która jest lekka

jak piórko, które mogą zdmuchnąć i które nie pozostawi po sobie żadnego śladu. A porównanie twórczości Jarmolińskiego do twórczości Malczewskiego i zestawianie ich talentów malarskich jest dla mnie już nie bzyzieniem muchy, ale drapaniem paznokciami po tablicy.

Druga wystawa zatytułowana została „Fragmety ciał”. Autor – Mateusz Kaczmarczyk, rocznik 90, nie rozwijał swojego talentu ze względu na chroniczne, długofalowe lenistwo i broni się przed napisaniem pracy magisterskiej (jak donosi skrupulatnie bwakielce.art.pl). Rysunkiem zajmuje się od dziesięciu lat. Był studentem w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach przez jeden dzień. Zabawne...? Nie bardzo. Tak jak prace Mateusza.

Wykonane zostały węglem, którym autor posługuje się technicznie na bardzo wysokim poziomie. Rysunki są dopracowane, niezwykle szczegółowe. Artysta posługuje się skalą szarości, rezygnując świadomie z koloru, aby – jak sam mówi – nie rozpraszać odbiorcy. Przedstawienia na rysunkach przywołują uczucia negatywne, odpychają. Prezentowane na nich postaci są zniekształcone, surrealistyczne, bez oczu, w maskach. Czarne tło jest jakby otchłanią otaczającą fragmenty nóg czy rąk. Prace pozbawione tytułu sprawiają, że odbiorca pozostawiony jest sam sobie w interpretacji tego, co ogląda. Autor rezygnuje z odpowiedzialności za dokładność swojego przekazu, pozwala każdemu dopatrywać się własnych treści w jego rysunkach.

Szkoda, bo dla mnie tytuł to ważna informacja o zamierzeniach, celowości i dojrzałości artysty. W przypadku tego trzeciego, ja mam małe wątpliwości,

artysta myje zęby, przesyła oglądającemu buziaka, zmywa z klatki piersiowej odznaczenie honorowe i wstydzi się bardzo...

czytając w jaki sposób Mateusz zaprosił znajomych na wystawę: „Wpadać na moją wystawę: D. Będą dziwki i wybuchy. I cydr”. Przy okazji to dobra życiowa lekcja, żeby w ustawieniach na Facebooku poczarować tak, aby nie każdy mógł szperać po Waszych „ścianach”.

Pierwsza wystawa zbiorowa jest efektem siódmej edycji sieradzkiego Triennale z Martwą Naturą. To prezentacja prac pokonkursowych, zorganizowana przez Biuro Wystaw Artystycznych w Sieradzu. Przewodniczącym komisji był profesor Jacek Ryłka, który kształcił młode umysły na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Przyznano trzy nagrody i cztery wyróżnienia. Grand Prix Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

dostała Martyna Borowiecka z Kielc za obraz olejny pt. „Dni Ziemi”. Bardzo realnie namalowane: worek na śmieci, z którego wyrasta bluszcz. Patrząc z daleka na ten obraz można się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem fotografia. W 2014 roku artystka zdobyła Grand Prix w konkursie „Przedwiośnie 37” w BWA w Kielcach.

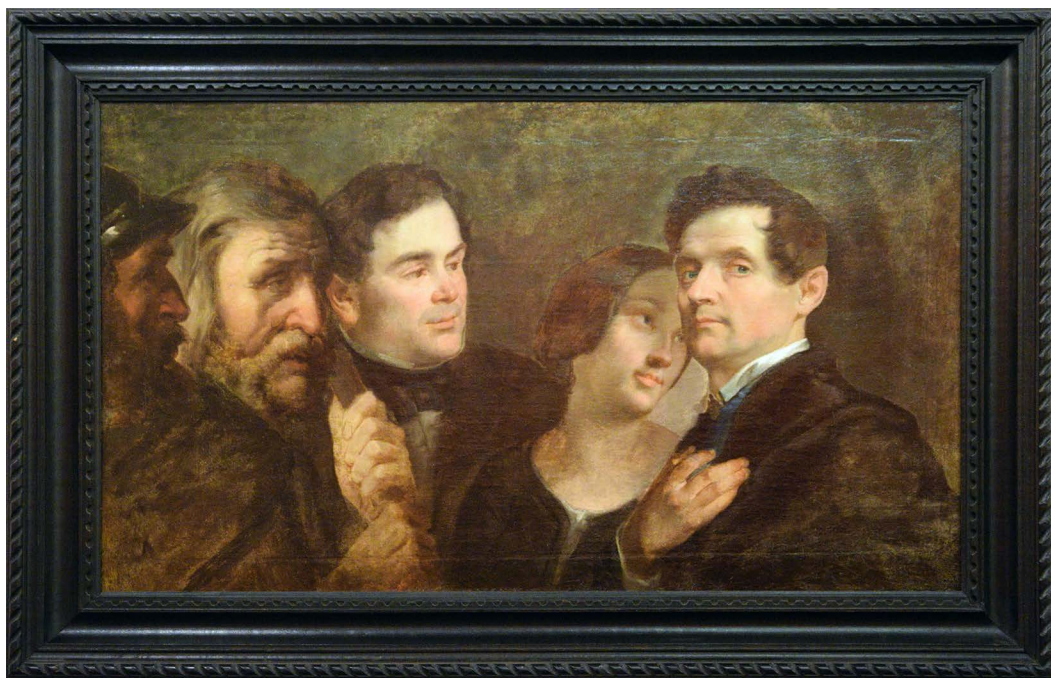


Fot. Agnieszka Suszczyńska

Martyna Borowiecka „DNI ZIEMI”

Nagrodę starosty sieradzkiego przyznano Grzegorzowi Redko za obraz „Rewolucja”. Kompozycja w brązach, z której wyłania się fragment postaci. Nagroda prezydenta Sieradza powędrowała do Magdaleny Leśniak (Kielce), za cykl „Ułamki rzeczywistości 3”, akryl na płótnie, również laureatki „Przedwiośnia” w 2013 r. Trochę geometryczne, trochę abstrakcyjne kadry z najbliższego otoczenia.

Wystawa jest bardzo różnorodna i niezwykle ciekawa. Pokazuje jak odmiennie każdy z nas patrzy na świat, jak różne sytuacje nas interesują i jak różnie interpretujemy rzeczywistość. Pokazuje jak wdzięcznym tematem może być martwa natura, czego owocem jest przyjemny dla oka i ducha, ogromny wachlarz artystycznych ekspresji. I co bardzo ważne, przynajmniej dla mnie, wystawa została opatrzona w katalogu tekstem, który się przyjemnie czytało, bez przeintelektualizowanych frazesów czy zbędnie wyrafinowanych słów. Szczerze, prosto i na temat, od siebie. W gąszczu tekstów o sztuce, których po prostu nie da się zrozumieć, w kuratorskim wyścigu o bardziej skomplikowany bełkot, który ma z banału zrobić sztukę nie wiadomo jak wzniosłą, jest to niezwykle cenne podejście. ■



Mężczyzna w czerwonej czapce

Izabela Łazarczyk-Kaczmarek

Wystawa Rafała Hadziewicza w Muzeum Narodowym w Kielcach to próba przybliżenia dorobku twórczego malarza. Sam artysta znany m.in., jako założyciel Zachęty Narodowej Galerii Sztuki w Warszawie, w powszechnej świadomości zaistniał obrazem swojej

żony Anastazji Głowackiej. Obraz ten pokazywany również na tejże wystawie jest jednym z najbardziej znanych dzieł Hadziewicza. Sam malarz, urodzony w 1803 r. w Zamchu, w Kielcach spędził ostatnie lata życia. Zmarł w 1886 r.



MALARSTWA UCZYŁ SIĘ u Antoniego Brodowskiego i Jana Antoniego Blanka, na Uniwersytecie Warszawskim. Wyjeżdżając na stypendia międzynarodowe m.in. do Drezna czy Paryża, w którym uczył się u samego Jeana A. Grosa, doskonalił własne umiejętności i szukał inspiracji. W Padwie, Modenie, Genui zwiedzał liczne muzea, galerie i kościoły. Malował wówczas kopie obrazów oraz robił rysunki rzeźb. W późniejszym czasie, sam został nauczycielem tak znanych artystów jak Józef Szermentowski, Wojciech Gerson czy Cierymscy.

Jednym z ciekawszych elementów wystawy są notatniki z rysunkami artysty. W szkicownikach widzimy studia do później rozwijanych tematów, pomysły na obrazy, zapis myśli towarzyszących danym chwilom, jak też wspomniane już nawiązania do oglądanych podczas licznych podróży dzieł. Kopiowanie oglądanych przezeń artystów (nie tylko w szkicownikach) pokazuje, jakich twórców najbardziej cenił: Rafaela,

Tycjana, Domenichina, Belliniego, Giorgiona. Nawiązania od renesansu do czasów współczesnych, będą wprowadzać pewien eklektyzm w jego twórczości, podejmującej tematy religijne, mitologiczne, zawierającej portrety i autoportrety.

Jedną z ulubionych modelek artysty jest jego żona Anastazja oraz najbliższe osoby z rodziny – Jadwiga Głowacka, Ludwika Gropplerowa – szwagierki malarza. W ich portretach jak i we własnych podobiznach, postaci przedstawione w formie popiersia zwracają uwagę dbałością artysty o strój i podobieństwo modela. Sceneria, w której zostaje sportretowana postać nie ma w tym przypadku większego znaczenia. Inne rozwiązania mamy natomiast w przypadku tematów religijnych (św. Maria Magdalena, Maria w świątyni) czy mitologicznych (Judyta z głową Holofernesa). Artysta wprowadza tu cytaty, lub inspiracje ze znanych obrazów. Patrząc na obrazy Hadziewiczza widać jak wielowątkowe były jego zainteresowania portretem. W „Sieciechu i Krzywoustym” będącym portretem ojca artysty Marcina i jego samego jako dziecka, widzimy niemalże pozbawione związku dwa portrety. Jakby artysta zestawił ze sobą „dwa obrazy” w jedno dzieło. Nie ma tu dialogu, porozumienia czy ekspresji, tylko dwie podobizny. W „Ugolinie” natomiast otwarte w krzyku usta, przerażenie wypisane w oczach, pokazują cierpienie człowieka patrzącego na śmierć najbliższych.

Zaskoczeniem jest również niewielkich rozmiarów autoportret artysty w czerwonej czapce, będący dalekim echem mężczyzny w czerwonym turbanie van Eycka.



Fot. Krzysztof Krogulec

Jedynie wielkość obrazu jak i czerwień nakrycia głowy pozwalają na skojarzenie tych dwóch obrazów. Podobnie jak u van Eycka zaskakuje niewielki format płótna.

Ponadto miedziane matryce, pokazane na wystawie pozwalają na stworzenie pełnego obrazu artysty, nie tylko jako malarza, ale i grafika, pomimo jej marginalnej roli w twórczości Hadziewiczza.

„Henryk Sienkiewicz w komiksie światowym”

8 października (sobota)
Galeria Nova, Jókai ter 1
Budapeszt

Prezentacja kieleckiego komiksu na podstawie powieści „Quo vadis”.

Autorzy:
 Jerzy Ozga
 Jarosław Miarka
 Janusz Ordon
 Andrzej Rębosz
 Grzegorz Majcher
 Jacek Rzodeczko

Wstęp merytoryczny:
 Paweł Chmielewski („Projektor”)

Organizator:
 Stowarzyszenie Polonia Nova
Finansowanie:
 Patronat medialny:
 projektor

Oliwia Hildebrandt
Muzeum Dialogu Kultur – oddział
Muzeum Narodowego w Kielcach – wspólnie
z Ambasadą Estonii w czasie wakacji zaprezentowało
wystawę „Alicja. Ilustracje”.

Pomiędzy filiżanką a talią kart



„SZALONY PODWIECZOREK”, Robert Romanowicz
Polska, akryl na brystolu

EKSPOZYCJA OBIĘŁA PRACE siedemdziesięciu dwóch ilustratorów z całego świata, zgromadzone przez estońską artystkę Viive Noor. Wszystkie dziewięćdziesiąt ilustracji inspirowane słowami Szalonego Kapelusznika „Zawsze jest czas na herbatę”, stanowią plastyczne odzwierciedlenie baśniowej opowieści o przygodach Alicji w Krainie Czarów Lewisa Carolla. Inspiracja wyjątkowa, bowiem świat w niej przedstawiony, nie jest takim, jakim go widzimy na co dzień, ukazany jest we śnie bohaterki, a snem rządzą odmienne prawa. Fragmenty rzeczywistości układają się w zabawnie nonsensowną całość, prawdziwe postacie miesza się z fantastycznymi, a zaskakujące wydarzenia zdumiewają. Autorom ilustracji udało się – i to z nawiązką – utrzymać fantastyczny klimat, nie tylko w wymiarze ilustracji do bajki dla dzieci, lecz także w nawiązaniu do głębszej warstwy znaczeniowej utworu, jaką wyczuwają dorośli odbiorcy, związanej z ludzką podświadomością i tajemnicą ludzkiego umysłu pogrążonego we śnie.

Wystawa jest znakomita. Połączenie w jednym miejscu tylu twórców z różnych kręgów kulturowych, wokół tematu pierwszorzędno było strzałem w dziesiątkę. Prace dojrzałe artystycznie prezentują szerokie spektrum współczesnej sztuki ilustracji. Każda z nich powiązana ze słowem, zainspirowana tematem czy nawet klimatem utworu mogłaby istnieć w pełnym

snem rządzą odmienne prawa

wymiarze jako odrębne dzieło. Wielokierunkowość poszukiwań artystycznych, różnorodność stosowanych rozwiązań formalnych, szeroka gama technik i co za tym idzie, odmienne efekty plastyczne, swoboda, świeżość i oryginalność pomysłów poszczególnych autorów sprawiają, że podróż zaskakuje i zachwyca.

Prace pogodne, poetyckie, jednocześnie też dowcipne i błyskotliwe, malarskie czy liryczne łączy skłonność do groteski, często graniczącej z absurdem, poetycznym przetworzeniem natury, przy zachowaniu konkretności przedstawiania. Ile autorów tyle wrażeń i odmiennych światów.

Aż się chciało lupę wyciągnąć w zetknięciu z perfekcyjnym, realistycznym a jednocześnie fantastycznym



„ŚCIAĆ ICH!”, Anne Linnamägi
Estonia, akwarela, ołówki

kompozycyjnie, zaskakującym zestawieniami i bogatym w szczegóły, barwnym rysunkiem rosyjskiej ilustratorki Natalie Pudalov. Po co? By zbliżyć się i wejść do tego świata snu, poznać szczegóły.

Stylizowane retro groteskowe, stonowane kolorystycznie, dopracowane i delikatne rysunki Judith Clay uszlachetniła technika indyjskiego tuszu. Robert Romanowicz, polski ilustrator zachwycił zabawnymi, humorystycznymi scenkami, pełnymi dziecięcej radości i zamierzonej naiwności.

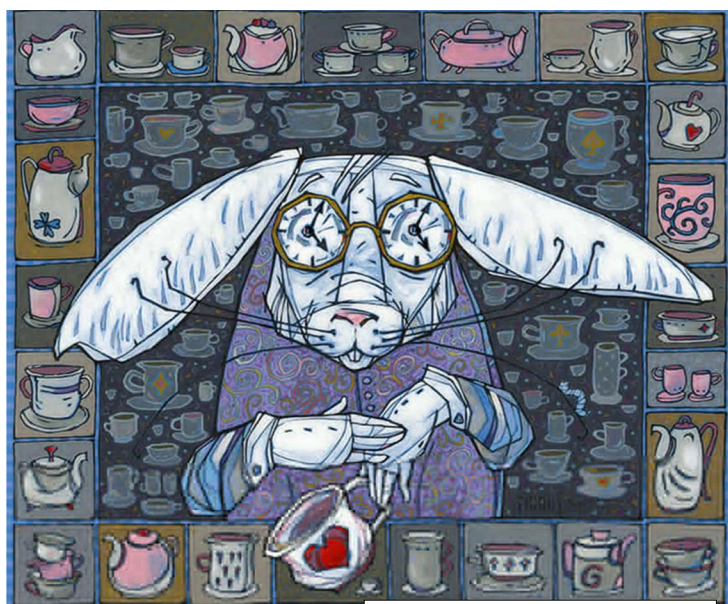


„CZAS NA HERBATKĘ”, Fatemeh Haghnajad
Iran, olej na papierze

Inne prace dynamiczniejsze, o mocniejszych walorach graficznych, bardziej syntetyczne, skupione wokół różnorodnych technik: rysunkowych czy graficznych albo typowo malarskich, czy w końcu z wykorzystaniem wklejek, kolażu i innych technik własnych to drugi biegun ilustracji, prosty i doskonały. W punkt.

I nadal pozostajemy pod urokiem niepowtarzalnego nonsensu i humoru. Kto nie widział niech żałuje.

A może w zamian lektura a potem drzemka i herbata.■



„BIAŁY KRÓLIK”, Piret Mäldberg
Estonia, technika własna

Fot. z archiwum Muzeum Dialogu Kultur

Czy znasz ten znak?

Izabela Łazarczyk-Kaczmarek

OGLĄDAJĄC WYSTAWĘ, KAŻDY jak sędzę zaczyna grać w grę, „które znaki znasz”. Podświadomie szukamy znanych nam z codzienności logotypów i często ze zdumieniem patrzymy na rok ich powstania. Wiele z nich wpisało się bowiem na stałe w naszą codzienność

Wszyscy znamy „skarbonkę” – znak PKO. Mało kto zna jednak nazwisko jego autora – Karola Śliwki, który logo stworzył w 1967 roku. Jak czytamy w katalogu wydany przy okazji Drugiej Ogólnopolskiej Wystawy Znaków Graficznych w Instytucie Designu w Kielcach, znak ten nie spodobał się... sprzątacze i dopiero kiedy plakat, na którym zaistniała skarbonka wygrał Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach, bank zdecydował się na wprowadzenie znaku znanego do dzisiaj.

i podobnie jak skarbonka PKO stały się czymś oczywistym. Kiedy spojrzymy bliżej na znaki graficzne, zobaczymy je w szerszej perspektywie – co znacznie ułatwia kompozycja wystawy – zauważymy jak trudne jest znalezienie oszczędnego w formie, a bogatego w treści znaku. Jak ważne jest łączenie myślenia abstrakcyjnego i lapidarnego podejścia do formy. Znak jako podstawowy nośnik informacji jest często rozumiany intuicyjnie, poprzez skojarzenia, doświadczenia czy socjologiczne uwarunkowania. Wydaje się zatem czymś niezwykle trudnym znalezienie tego właściwego „klucza” do stworzenia rozpoznawalnej dla odbiorców formy.

Pierwsza wystawa, która za temat obrała znak graficzny



odbyła się w 1969 r. Była to Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Znaków Graficznych. Jej inicjatorami byli Jan Hollender i Stefan Bernaciński, a organizatorami Karol Śliwka, Stanisław Topfer i Franciszek Winiarski. Pomimo dobrego odbioru wystawy i prezentacji na wystawie projektów Leona Urbańskiego, Ryszarda Bajora czy wspomnianego już Karola Śliwki, nie odbyły się kolejne odsłony wystawy. To, co możemy oglądać w IDK w Kielcach to wynik pracy Patryka Hardzieja i Rene Wawrzyńkiewicza. W tym przypadku przyczynkiem do wystawy była praca dyplomowa tego pierwszego „Polskie znaki graficzne”. I tak próbując odtworzyć pierwszą wystawę narodził się pomysł drugiej jej odsłony. Obraz współczesnego projektowania z lat 2000-2015 miał pokazać jak zmieniło się podejście do projektowania, jak zmienił się warsztat w dobie Internetu i nowinek technologicznych. Podobnie jak w 1969 roku na wystawę wybrano trzysta trzydzieści pięć projektów, a jednym z uczestników też był Śliwka.

Wracając do samej ekspozycji, w jednej z przygotowanych gablot widzimy wszystkie niezbędne przybory, jakimi posługiwali się graficy w latach sześćdziesiątych. Grafiony i krzywki raczej stanowią obecnie archetyp przeszłości i są jedynie ciekawostką, podobnie jak fakt wykonywania projektów odręcznie na papierze... Ponadto przywołanie – jako przykładu myślenia o całościowej identyfikacji wizualnej – loga Alior Banku czy PZU, pokazuje jak zmienił się sam proces kreowania wizerunku



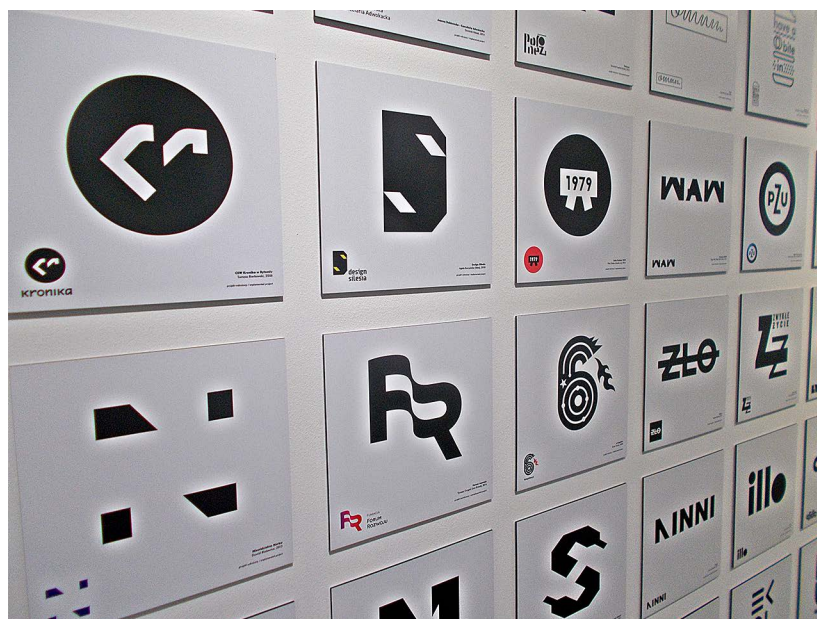
grafiony i krzywki
raczej stanowią
obecnie archetyp
przeszłości i są
jedynie ciekawostką,
podobnie jak fakt
wykonywania
projektów odręcznie
na papierze...



Fot. Paweł Chmielewski

wielkich korporacji i jak przepracowuje się każdy nawet najdrobniejszy element, aby osiągnąć spójną wizualnie koncepcję i dotrzeć do wyznaczonego przez daną firmę celu.

Ciekawe wydaje się również pokazanie materiałów z pierwszej wystawy: katalogu, informacji. Niezwykły, choć przewidywalny kontrast pokazuje, jak zmienił się nasz sposób myślenia w pewnych kwestiach. Podkreślają to na wystawie znaki Ars Independent Festiwal, Moose czy Chrupek Co., nawiązujące do współczesnej popkultury i pragnące dotrzeć swoją obrazowością do coraz młodszego odbiorcy.





intymne relacje człowieka z technologią

Każdy z nas jest Pigmalionem

Jan Stasieńko
*Niematerialne Galatee w wehikulach
 rozkoszy i bólu. Technologie
 mediów jako aparaty kreowania
 posthumanistycznej intymności*
 368 s. ; 20 cm
 Gdańsk : Wydawnictwo Naukowe
 Katedra, 2015
 004.032.6:659.3:316.77

Pasją króla Cypru, Pigmaliona, była rzeźba. Stworzył figurę idealnej kobiety, tak piękną, że nie potrafił powstrzymać swoich uczuć do niej. Bogini Afrodyta zauważyła cierpienia władcy i ożywiła marmurowy posąg. Tak narodziła się Galatea.

Martyna Mustat

MIT O GALATEI I PIGMALIONIE, choć wydaje się odległy, jest zarazem bardzo aktualny. Dowodzi tego Jan Stasieńko w książce „Niematerialne Galatee w wehikulach rozkoszy i bólu”. Relacje między człowiekiem a technologią też mogą być bliskie, a nawet intymne. Niewątpliwie na ich powszechność ma wpływ rozwój nauki, choć już w przeszłości, niektóre urządzenia potrafiły wywołać w odbiorcy szczególne emocje.

Stasieńko przygląda się intymności z perspektywy posthumanistycznej. Człowiek nie jest, a w każdym razie już nie musi być w centrum dyskursu. Sygnały komunikacyjne stają się ważniejsze niż ich nośniki, w tym ludzkie ciało – człowiek równie dobrze może funkcjonować w domenie cyfrowej. Informacja zaczyna być uważana za osobną jakość, a bywa, że w pewnym sensie nawet oddzielny byt. Obiekty nieożywione są niejednokrotnie humanizowane, co nadaje im cechy podmiotów. Jednocześnie ludzki podmiot zostaje zredukowany do informacji, przez co w pewnym stopniu zostaje uprzedmiotowiony. Technologie medialne zyskują więc status równorzędnego wobec człowieka. To umożliwia tworzenie emocjonalnej więzi między żywym człowiekiem a twórcami cyfrowymi.

Autor bada relacje między ludzkim podmiotem, a informacją traktowaną podmiotowo, na kilku przykładach, takich jak peep show, animacja, green i blue box, teleprompter, interaktywne programy telewizyjne, bazy danych czy gry komputerowe. W przypadku każdego „aparatu medialnego” intymność zaznacza się w inny sposób. Może zachodzić zarówno na etapie budowania przekazów medialnych (jak w przypadku animatorów kreskówek), jak i ich odbioru. Bywa, że tworzy się dzięki budowaniu własnych narracji w obrębie danej technologii (tak jak w quizach telewizyjnych, w których odbiorcy są angażowani w to, co dzieje się na wizji).

Budowanie intymności jest możliwe również z mechanizmami medialnymi, które są źródłem przyjemności, często seksualnej (np. peep show), lub aparatami przemocy (np. uśmiercanie postaci w popularnej grze „The Sims”).

Najwyraźniej jednak bliskość ta zaznacza się w przypadku obiektofilów, którzy szukają płaszczyzny emocjonalnego porozumienia między gatunkami (autor przytacza wyjątkowo ciekawy przykład Japończyka, który poślubił postać z gry komputerowej – działanie bez mocy prawnej, jednak stanowiące wyjątkowo silny symboliczny przekaz).

„Niematerialne Galatee w wehikulach rozkoszy i bólu” to rozbudowane studium posthumanistycznej intymności, które pokazuje badany problem z wielu perspektyw. Z pewnością zainteresuje wszystkich badaczy i miłośników nowoczesnych mediów audiowizualnych.

KONKURS

Dla naszych czytelników mamy konkurs, w którym nagrodami są egzemplarze książki Marcina Rychlewskiego „Rewolucja rocka” (wydawnictwo Oficyna). Wystarczy do 30 września przysłać na adres mailowy redakcji: projektorkielce@onet.eu swoją opinię o najważniejszym wydarzeniu muzycznym tego roku. Może to być płyta, może być koncert, festiwal, książka itd. Rejon geograficzny nieograniczony. Objętość również - jedno celne zdanie, kilka zdań, krótki esej. Trzy najciekawsze opinie nagrodzimy książkami.

Charles Burns
Black hole
380 s. ; 25 cm
Warszawa : Kultura Gniewu, 2015
821.111(73)-93-91

KOMIKS

Czarne dziury w ludzkiej duszy

Nie tak dawno strona internetowa IndieWire opublikowała listę niezrealizowanych projektów Davida Finchera – twórcy niezapomnianych filmów takich jak „Siedem”, „Fight Club”, „Panic Room”, czy ostatnio „Zaginionej dziewczyny”. Wśród rozlicznych, zarzuconych z różnych względów produkcji była filmowa adaptacja noweli graficznej Charlesa Burnsa „Black Hole” – „Czarna dziura”.

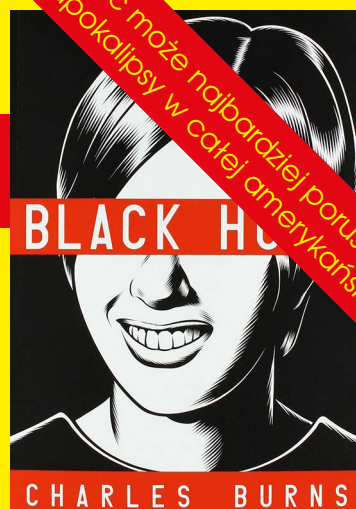
Piotr Kletowski TEN TWORZONY NA PRZESTRZENI 10 lat, drukowany przez wydawnictwo Fantagraphics Books komiks, stanowi dziś żywą klasykę amerykańskiej literatury obrazkowej, nęcąc swą wizualną i intelektualną potencją kolejne generacje artystów, nie tylko parających się kinem. Ponowne, polskie wydanie komiksu Burnsa (pierwsza edycja rozpytnęła się wśród miłośników komiksów jak poranna mgła), dokonane przez nieocenioną Kulturę Gniewu jeszcze raz pozwala dotknąć fenomenu Black Hole – być może najbardziej poruszającej wizji apokalipsy w całej amerykańskiej kulturze popularnej (a że w Ameryce nie ma innej, więc śmiało można napisać – w całej amerykańskiej kulturze). Burns przenosi nas do późnych lat 70., do Seattle, gdzie dogorywa seksualna rewolucja napędzana przez wszechobecne narkotyki. Śledzimy losy grupy nastolatków, którzy padają ofiarą tajemniczej plagi, roznoszonej przez kontakt z płynami ustrojowymi (zwykle podczas uprawiania seksu). Ciała bohaterów przybierają dziwne, gadopodobne formy, powodując, że dotknięci „chorobą” ludzie gromadzą się w miejscach odosobnienia, by czekać na swój kres.

Choć mamy tu do czynienia z bohaterem zbiorowym, wokół czterech postaci: wrażliwej nastolatki Chris, jej niewiernego chłopaka Boba, obdarzonej ogonkiem zmysłowej malarki Elisy zwanej przez swą anomalię „Królową Jaszczurów” i zafascynowanego jej seksualnością Keithem, oscyluje fabuła komiksu, bo ta czwórka bohaterów symbolizuje całe pokolenie „sex, drugs and rock’n’roll”, płacące najwyższą cenę za „zdobytcze” czasów „Flower Power”. Ale dzieło Burnsa dalekie jest od prostego moralizatorstwa, posługującego się figurą plagi jako prefiguracji choroby AIDS (przez konserwatywną propagandę określaną jako „kara” za rozpasaną seksualność). Opowieść Burnsa wpisuje się bowiem we wciąż żywy, charakterystyczny przede wszystkim dla modernistycznej formacji kulturowej

wątek, rozpatrujący miłość, także, a zwłaszcza miłość fizyczną, jako rodzaj choroby – z jednej strony wyniszczającej cielesnie i duchowo człowieka – lecz z drugiej strony w jakiś sposób wyzwającego człowieka, nie tylko z okowów narzuconych mu przez kulturę, społeczeństwo i cywilizację, ale przede wszystkim z własnych – psychicznych i fizycznych ograniczeń.

Innymi słowy miłość jako choroba, przynosi człowiekowi destrukcję, ale i samopoznanie, odświeżające w nim to, co najistotniejsze. Te charakterystyczne dla Tomasza Manna, Fryderyka Nietzschego, czy Arthura Schnitzlera obsesje odnajdujemy w wielowymiarowym komiksie Burnsa, przenoszącego rozterki Hansa Castorpa z „Czarodziejskiej góry”, czy Filozofa z „Poza dobrem i złem”, na przedmieścia Seattle lat 70., wkładając je w entourage hipnotycznego horroru sf, z turpistycznymi, lecz na swój sposób fascynującymi (monochromatyczna kreska Burnsa świetnie buduje ponury, lecz na swój sposób piekielnie zmysłowy świat przedstawiony opowieści) obrazami kopulujących, przepoczwarczających się ciał, zmierzających do zagłady, choć jednocześnie otwierających się na samopoznanie.

Jest więc „Black Hole” nie tyle umoralniającą opowieścią (choć na upartego i tak można ją odebrać), ale wieloznaczną, odświeżającą cielesny (ale prowadzący do duchowego wymiaru – tutaj mającego kształt biblijnego Raju Utraconego, skażonego przez demona przybierającego postać węża, do którego powrót – podobnie jak jego utrata – wiedzie przez grzeszny, seksualny upadek) wymiar ludzkiej egzystencji. Ciekawe byłoby zapewne obejrzeć filmową wersję arcydzieła Burnsa, choć myślę, że bardziej od Davida Finchera do tej roboty nadawałby się jego imiennik – David Cronenberg – twórca „body-horrorów”, takich jak „Dreszcze”, czy „eXistenZ”. Jednak z drugiej strony wątpię by udało się przekazać całe bogactwo labiryntowej, „węzowej” struktury komiksu Burnsa na dużym ekranie. ■



być może najbardziej poruszająca wizja apokalipsy w całej amerykańskiej kulturze

Fot. Oliwia Hildebrandt



Podróżnicy

Oliwia Hildebrandt

Powołana przez pomysłodawców i mecenasów Dorotę i Tomasza Tworów Fundacja „Nowa Przestrzeń Sztuki” już po raz ósmy popularyzuje sztukę współczesną oraz promuje Kielce poprzez wyjątkowe wydarzenie artystyczne.

Fot. Oliwia Hildebrandt



Fot. Wojciech Hadas

PO LABIRYNCIE LEONA Tarasewicza, „Tężni” Roberta Kuśmirowskiego czy zesztorocznej realizacji Sylwestra Ambroziaka, które tradycyjnie odbywały się na placu Artystów, do Kielc zawitali „Nomadzi”, twórcy zebrani na zaproszenie gospodarza – Pawła Althamera, rzeźbiarza i performera, by w dniach 5-8 września realizować własne prace w ramach projektu „Nomada”, bazującego na idei Art Campu, który jest ósmym dorocznym działaniem z cyklu „Sztuka w przestrzeni publicznej”. Obok Althamera wzięli w nim udział: Robert Brylewski, Marek Cecuła, Jacob Cohen, Jim Constanzo aka Aaron Burr – Socjety, Maya Gordon, Brian Fernandez Halloran, Włodek Kiniorski, Robert Manowski, Magda Materna, Joanna Rajkowska, Anda Rottenberg, Yevgen Samborski, Michał Slezkin, Aga Szreder, Joanna Świerczyńska, Krzysztof Visconti, Artur Żmijewski, Rafał Żwirek

Inspiracją dla artystów stała się przestrzeń żydowskiego domu modlitwy z początku XX w. odrestaurowana i przeniesiona z ul. Słowackiego na kielecki Pakosz z inicjatywy właścicieli fundacji.

Lokalna historia stała się podstawowym kontekstem wydarzenia, poszerzonym o uniwersalne i kulturowe znaczenia motywu wędrowki i spotkania, obyczajów wspólnego dla wszystkich kultur, niezależnie od miejsca i czasu. Bezpośrednim nawiązaniem stało się także żydowskie święto Sukkot – święto szataśów – będące rytuałem celebrującym wspólne przebywanie.

Mistyczna praca „Źródło” Marka Cecuły, złożona z hebrajskiego alfabetu zebranego na trzystu talerzach, ujęta w interaktywną formę, pozwoliła publiczności na wykorzystanie mechanizmu kabalistycznej praktyki w poszukiwaniu nowych treści, znaczeń czy sensów. Wędrowiec z wyboru bądź z konieczności, uciekinier, metafizyczny pielgrzym, przechodzień, widz, każdy człowiek w obecnej sytuacji, w oczach artystów pragnie lub powinien potrzebować izolacji i spokoju, w ciepłej, karminowej kapsule z oknem w dachu na gwiazdy, kucze Agi Szreger lub w szataśie przytulonym do bożnicy, rzadko z racji konieczności widoczności, igliwem przykrytego z autorskimi hieroglifami i misą wymownych kostek chleba Joanny Świerczyńskiej. To jedna strona medalu.

Motyw mistycznej drogi życia – Tory zapisanej w działaniu przez Artura Żmijewskiego, wraz z Marcinem i Pawłem

Fot. Wojciech Hadas



Fot. Oliwia Hildebrandt

Althamerami oraz zaproszonymi uczniami kieleckiego „plastyka” to także zapis podróży tam i z powrotem.

Brama z walizek Michała Slezkina, to właściwie mur, złożony z obiektów doświadczonej w drodze, niemych towarzyszy, które zamknięte nie dają świadectwa o swej intrygującej zawartości. Odwrotnie patrząc, pobielone niczym ściana płaczu (za autorem) przypomina tabulę ras, która z biegiem czasu, w zamierzeniu artysty, ma stać się miejscem do interakcji, dialogu między twórcą a publicznością.

Korzenie... starodrzewu, wyrwane z macierzystej posesji bożnicy, stały się materią dla Yevgena Samborskiego, autora surowej rzeźby-instalacji uosabiającej człowieka przemieszczanego, bez siły własnych korzeni. Na siłę zakorzenienia w obcym środowisku i jednocześnie potrzebę pielęgnacji, powołała się Joanna Rajkowska, która po zasadzeniu pięciu palm wśród świerków, podkreśliła istotę odmienności. W nawiązaniu do słów Pawła Althamera, „ojca chrzestnego” przedsięwzięcia, wartością ponadczasową jest przyjaźń i miłość. Łączą one ludzi na zawsze, najsilniej widoczne stają się podczas spotkań, podróży i przy realizacji wspólnego dzieła. To wszystko było w Kielcach, na Bocznej.

**człowiek przemieszczany,
bez siły własnych korzeni**



instytuty

muzea

teatry

biblioteki

stowarzyszenia

galerie

federacje

**MUZEUM NARODOWE W KIELCACH
PAŁAC BISKUPÓW KRAKOWSKICH**25-010 Kielce, pl. Zamkowy 1, tel. 41 344 40 14
kasa biletowa: tel. 41 344 23 18
e-mail: poczt@mnki.pl; www.mnki.pl**MUZEUM HISTORII KIELC**25-303 Kielce, ul. Św. Leonarda 4, tel. 41 340 55 20
www.muzeumhistoriikielc.pl**MUZEUM LAT SZKOLNYCH STEFANA ŻEROMSKIEGO**25-013 Kielce, ul. Jana Pawła II, tel. 41 344 57 92
www.mnki.pl**GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ
„DOM PRACZKI”**25-009 Kielce ul. Zamkowa 5/7, tel. 41 367 62 97
e-mail: dompraczki@o2.pl**MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY**25-367 Kielce, pl. Wolności 2
tel. 41 34 440 78, tel./fax. 41 344 48 19
e-mail: poczt@muzeumzabawek.eu
www.muzeumzabawek.eu**DWOREK LASZCZYKÓW**

25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 6, tel. 41 34 450 06

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH25-011 Kielce, ul. Kapitulna 2, tel. 41 36 76 447
e-mail: sekretariat@bwakielce.art.pl
www.bwakielce.art.pl**TEATR LALKI I AKTORA „KUBUŚ”**25-304 Kielce, ul. Duża 9
tel. 41 344 58 36, 41 368 02 93
e-mail: sekretariat@teatr-kubus.pl
www.teatr-kubus.pl**GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „WINDA”**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32 w. 262
www.galeriawinda.pl**MUZEUM DIALOGU KULTUR**25-303 Kielce, Rynek 3, tel. 41 344 60 96
www.mdk.mnki.pl**GALERIA ZPAP „TYCJAN”****SKLEP BOHEMA**25-007 Kielce, pl. Artystów / ul. Sienkiewicza 29
tel. 668 895 221**GALERIA XS**25-717 Kielce, ul. Podklasztorna 117
http://wpia.ujk.edu.pl/isp**INSTITUTE OF DESIGN KIELCE**25-009 Kielce, ul. Zamkowa 3, tel. 41 315 26 39, w. 117
www.idkielce.pl**TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO**25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32
tel. 41 344 75 00, 41 344 47 65
tel. 41 344 60 48 w. 31 – impresariat
e-mail: biuro@teatr-zeromskiego.com.pl
www.teatr-zeromskiego.com.pl**FILHARMONIA ŚWIĘTOKRZYSKA
IM. OSKARA KOLBERGA**25-369 Kielce, ul. Żeromskiego 12
tel. 41 368 11 40, kasa biletowa: 41 365 54 83
e-mail: impresariat@filharmonia.kielce.com.pl
www.filharmonia.kielce.com.pl**GALERIA SZTUKI „ZIELONA”**28-100 Busko-Zdrój, al. Mickiewicza 7, tel. 41 378 71 91
e-mail: galeriazielona@busko.com.pl**DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH
„PAŁACYK TOMASZA ZIELIŃSKIEGO”**25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5
tel. 41 367 67 70, 41 367 67 71
www.palacykzielinskiego.pl**KIELECKIE CENTRUM KULTURY**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32
www.kck.com.pl**KIELECKI TEATR TAŃCA**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2B
tel./fax 41 361 27 46, 41 341 51 77
e-mail: impresariat@ktt.pl, ktt@ktt.pl; www.ktt.pl**WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. WITOLDA GOMBROWICZA W KIELCACH**25-033 Kielce; ul. Ściegiennego 13, tel. 41 344 70 74
www.wbp.kielce.pl**PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA W KIELCACH**25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 5, tel. 41 344 28 61
www.pbw.kielce.pl**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W KIELCACH**25-406 Kielce, ul. Konopnickiej 5
tel. 41 362 70 13, 41 368 54 09, fax 41 362 61 15
biblioteka@mbp.kielce.pl; www.mbp.kielce.pl**„BAZA ZBOŻOWA”**25-416 Kielce, ul. Zbożowa 4
www.baza-zbozowa.eu**WOJEWÓDZKI DOM KULTURY**25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 2, skr. poczt. nr 5
tel. 41 365 51 00, fax. 41 361 83 81
e-mail: wdk@wdk-kielce.pl; www.wdk-kielce.plMagazyn wydano dzięki wsparciu
finansowemu Urzędu Miasta Kielce**Punkty dystrybucji magazynu „Projektor” w Kielcach:****BAZA ZBOŻOWA**(ul. Zbożowa 4, lokal 12 – redakcja;
lokal 1 – zarząd; budynek ochrony)**URZĄD MIASTA KIELCE**

(Rynek 1)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

(ul. Ściegiennego 13)

MUZEUM HISTORII KIELC

(ul. Leonarda 4)

MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY

(pl. Wolności 2)

MUZEUM DIALOGU KULTUR

(Rynek 3)

GALERIA ZPAP „TYCJAN” I SKLEP BOHEMA

(pl. Artystów)

GALERIA „FORMA”

(ul. Mała 4)

TEATR LALKI I AKTORA „KUBUŚ”

(ul. Duża 9)

GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ

„DOM PRACZKI”

(ul. Zamkowa 5/7)

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA

(ul. Kapitulna 2)

DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH

(ul. Zamkowa 5)

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY UNIWERSYTETU**JANA KOCHANOWSKIEGO**

(ul. Świętokrzyska 21d)

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W KIELCACH

(ul. Świętokrzyska 21e)

INSTITUTE OF DESIGN KIELCE

(ul. Zamkowa 3)

KIELECKI PARK TECHNOLOGICZNY

(ul. Olszewskiego 6)

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA(Filie – ul. Krzemińska 20,
ul. Jagiellońska 36,
ul. Romualda 3, ul. Warszawska 147, ul. Wikaryjska 1,
ul. Barwinek 31, ul. Okrzei 9, ul. Konopnickiej 5,
ul. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 53, ul. Zagórska 60,
ul. Naruszewicza 25)**INSTYTUT SZUK PIĘKNYCH UJK**

(ul. Podklasztorna 117)

POLITECHNIKA ŚWIĘTOKRZYSKA, WYDZIAŁ**ARCHITEKTURY I URBANISTYKI**

(al. 1000-lecia Państwa Polskiego 7)

ŚWIĘTOKRZYSKA OKRĘGOWA IZBA ARCHITEKTÓW

(ul. Siłniczna 15)

ANTYKWARIAT NAUKOWY**IM. ANDRZEJA METZGERA**

(ul. Sienkiewicza 13)

I LO IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO

(ul. Ściegiennego 15)

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY

(ul. Koza 10a)

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA W KIELCACH

(ul. Jana Pawła II 5)

FILIE BIBLIOTEKI PEDAGOGICZNEJ(Busko-Zdrój, ul. Armii Krajowej 19; Jędrzejów,
ul. 11 Listopada 37; Kazimierza Wielka,
ul. Partyzantów 29; Końskie, ul. Zamkowa 5; Opatów,
ul. Słowackiego 54; Ostrowiec Świętokrzyski,
os. Ogrody 26; Pińczów, ul. Nowy Świat 3,
Sandomierz, ul. Sokolnickiego 4 i 6; Starachowice,
ul. Kościelna 30; Staszów, ul. Piłsudskiego 7,
Włoszczowa, ul. Wiśniowa 10)

www.projektorkielce.pl



***Czytam
„Projektora”***

Jan Koch